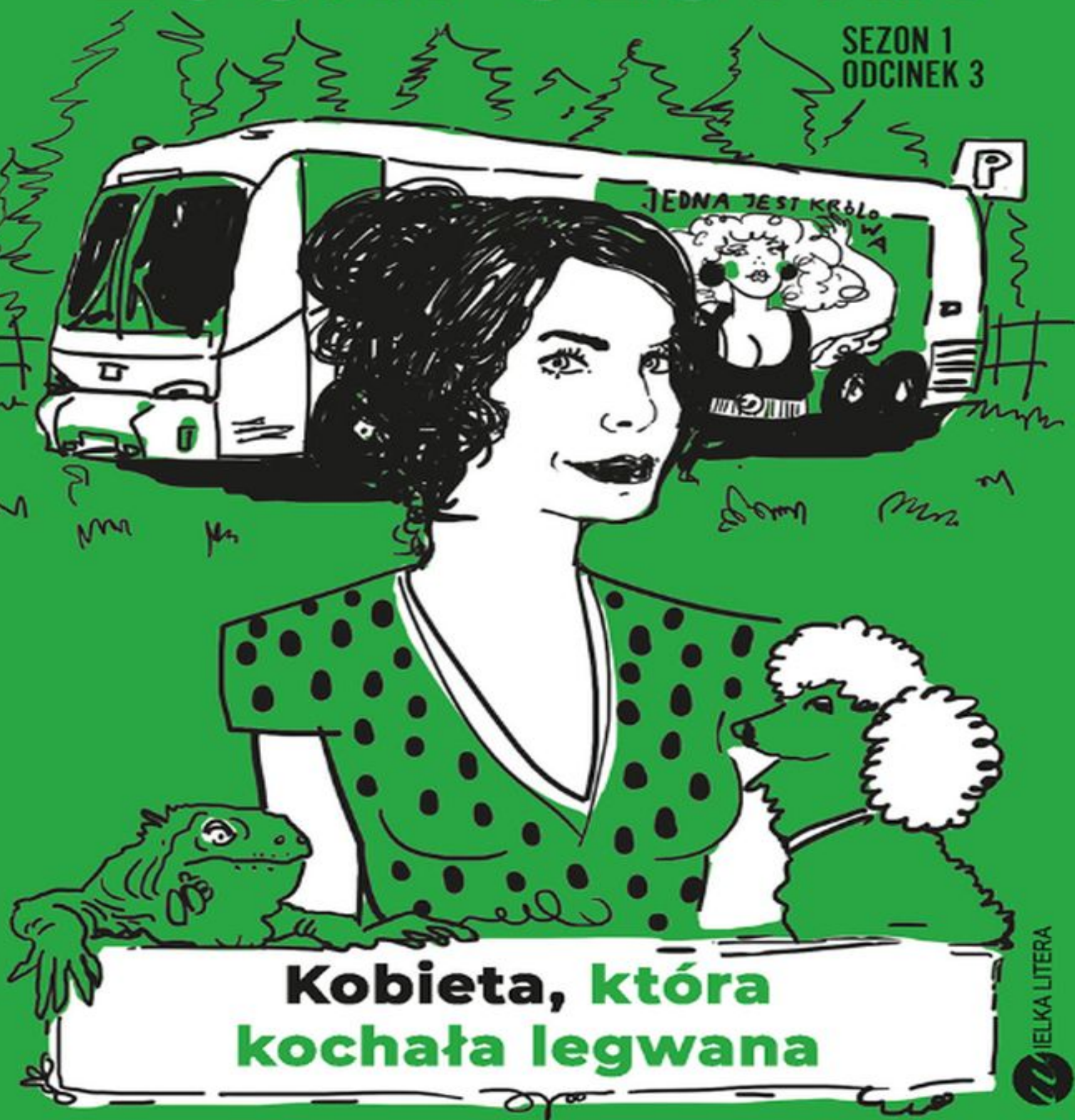


MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

SEZON 1
ODCINEK 3



Kobieta, która
kochała legwana

LITELKA LITERA



MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

**Kobieta, która
kochała legwana**

Projekt graficzny okładki
Porysunki / Magda Danaj

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Berenika Wilczyńska

Korekta
Marta Stochmiałek
Teresa Zielińska

Copyright © by Marta Guzowska i Leszek Talko, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-824-2



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Konwersja: eLitera s.c.

odwiedź nas na



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 1

To się musiało zakończyć katastrofą.

A jednak trwało. A katastrofa nie nadciągała.

Kolejne zlecenie zaczęłam jakieś dziesięć minut temu, ale na razie nie miałam zbyt dużo pracy, za to sporo czasu na oglądanie scen, jakich nie widziałam jeszcze nigdy w życiu. Jakiś facet wdrapał się na słupek, po czym stamtąd zleciał. Ale nic mu się nie stało. Inny wlaź na drzewo, nie wziął jednak pod uwagę, że to wątła brzoza, i wisiał uczepiony kurczowo pnia nachylnego pod kątem czterdziestu stopni. On też po chwili spadł, ale sądząc po wrzaskach dobiegających z dołu, również przeżył. Kilka dziewczyn stanęło na kartonowych pudłach ustawionych w piramidę. Zapewne nie zaskoczy was wiadomość, że zmyślna konstrukcja także runęła, ale i tym razem obyło się bez ofiar śmiertelnych. Kilkanaście metrów ode mnie gruby mężczyzna usiłował zaprzeczyć prawu przyciągania, wisząc na wysięgniku reflektora. Rozpaczliwie machał nogami w powietrzu. Ostatecznie spadł prosto w zbity tłum. Łysiejący facet w średnim wieku zsuwał się z pochyłego dachu budki, na który się wspiał, starając się utrzymać w pionie puszkę piwa. Błyskawicznie dopił resztki, żeby nic się nie zmarnowało, zawisł na rynnie, a potem również zleciał. Nie powstrzymało to dwóch innych od pójścia w jego ślady.

Najbardziej frapujące było jednak to, że gdy tylko jeden zapaleniec spadał, następny natychmiast wspinał się na to samo miejsce, by po chwili powtórzyć lot w dół. Każdy z nich – na oko kilkanaście tysięcy ludzi – chciał wleźć wyżej, by zobaczyć tę, dla której się tu znaleźli.

Zwykłą kobietę, która pokonała niezwykłą drogę. Mówi wam to coś?

Autorkę *Twój zapach upaja mnie oraz Lecę na ciebie, malutka, bo jesteś w domu samiutka*. Teraz coś wam zaświtało?

Zdobywczynię pięciu złotych płyt (tylko w tym roku). Już wiecie?

Gwiazdę trzech filmów, w których grała samą siebie. Musicie ją kojarzyć.

Wieškę Orzeł, bożyszczę tłumów, gwiazdę disco polo, kobietę sukcesu i moją nową chlebobawczynię.

„Chcę być zwykła i banalna, ale jestem trochę wulgarna” – nadawała ze sceny Wieśka. Usadowiłam się wygodniej na krześle w garderobie. Do przerwy zostało jeszcze trochę czasu.

*

Wieśka Orzeł przypominała Violettę Villas w wersji turbo. Korpulentna, długie blond loki, mocno zrobione oko. Jednak na scenie nosiła się zupełnie inaczej – teraz na przykład do czarnej skórzanej kurtki włożyła obcisłą spódnice przed kolano ze srebrnej lamy. A właściwie włożono, albo raczej wciśnięto na nią ten strój. W niedużym pomieszczeniu kłębił się tłum ludzi, którzy starali się jak najlepiej wykorzystać dwie minuty przerwy przed ostatnim wejściem artystki na scenę.

Wieśka Orzeł zajmowała wielki skórzany fotel. Młoda dziewczyna usiłowała ją podmalować, co nie było proste, bo piosenkarka ani przez moment nie potrafiła siedzieć nieruchomo. Cały czas gadała, gestykulowała i kręciła się we wszystkie strony.

– Nie wyciągnęłaś tego tak, jak mogłaś – narzekał łysiejący facet, który przycupnął na krzeselku obok. – Kiedy lecisz frazę: „Czuję w brzuchu bzyyy, a przede mną tyyy”, musisz wejść w wyższy rejestr.

Faceta znałam, bo zrobiłam wcześniej research. To był Janusz Czapla, mąż Wieśki i jej nadworny kompozytor. Ponieważ Wieśka Orzeł zasłynęła jako kobieta sukcesu, która do wszystkiego doszła

sama (pamiętacie te nagłówki: *Gospodyni domowa, która została gwiazdą i Samodzielnie wspięła się na szczyt?*), Janusz Czapla musiał trzymać się w cieniu. Podobno był kiedyś cenionym kompozytorem. Napisał muzykę do kilku przedstawień teatralnych, skomponował symfonię, która dostała nagrodę na festiwalu w Helsinkach, i został okrzyknięty najbardziej obiecującym talentem w dziedzinie muzyki klasycznej w Europie Środkowej. Ale to wszystko ćwierć wieku temu. Potem zarzucił muzykę poważną na rzecz disco polo. Gdybyście mieli do wyboru: przeżyć rok za tysiąc euro nagrody dla najlepszego młodego kompozytora albo dostawać w tym samym czasie honoraria po sto tysięcy złotych za koncert (a był to trzeci występ w tym tygodniu), pewnie podjęlibyście podobną decyzję. W każdym razie zadaniem Janusza Czapli było pisanie muzyki do tekstów Wieśki i pozostawanie w cieniu. Media nie mówiły o nim ani słowa. Oficjalnie Wieśka Orzeł była szczęśliwa, spełniona i wolna.

Dziewczyną, która nadal usiłowała poprawić kreskę nad okiem Wieśki, była Paulina Jastrzębska – jej osobista kreatorka wizerunku. Z tego, co słyszałam, siostrzenica piosenkarki. Z tego, co również słyszałam, bardzo zdolna, bardzo miła i o wyjątkowo miękkim sercu. Pasowała do Wieśki jak pięść do oka.

– Spódnica pękła; mówiłam, że tak będzie – skarżyła się Wieśka Orzeł.

– Nie trzeba było jeść czipsów przed wejściem – fuknęła kolejna kobieta u jej boku. Uznałam, że to musi być trenerka personalna gwiazdy, Brygida Wrona. Usiłowała wykonać zadanie na pozór niewykonalne, to jest wtłoczyć kształty Wieśki w kolejną mieniącą się srebrem kreację. – Musisz wciągnąć powietrze – komenderowała.

– Przecież wypuszczę, kiedy będę śpiewać. – Wieśka Orzeł wyrzuciła w górę ramiona.

– Nie rób tego, bo trzaśnie – upomniała trenerka. – Żadnych ramion do góry. Lecisz po scenie wzdłuż linii, a Alonso i Pedro

trzymają cię z obu stron.

Wskazała dwóch ognistych brunetów w czerwonych pantalonach i skąpych kamizelkach ledwo osłaniających ich imponujące ośmio-, a może nawet dziesięciopaki. Podobnie ognistych brunetów kręciło się za kulisami chyba z dwunastu. Wyglądali identycznie: mieli taki sam trzydniowy zarost i jednakowe dzikie spojrzenia. Ich głównym zadaniem było bieganie po scenie w kierunku Wieśki, a potem teatralne padanie na ziemię, kiedy ich roztrącała. Publiczność wyła z zachwytu.

– Nie dam rady – powtórzyła Wieśka Orzeł. Załamała ręce, a napięty materiał niebezpiecznie zatrzeszczał. – Nie potrafię, nie wrócę tam.

– Kacper! – wrzasnął Janusz Czapla. – Chodź tu zaraz!

Facet, który pojawił się po kilku sekundach, musiał być Kacprem Gołębiowskim – osobistym kołczem i mentorem Wieśki. Obejrzałam kilka jego wystąpień na YouTube. Nie różniły się od przemówień innych kołczów, ale wystarczyły, by zapewnić mu kilkadziesiąt tysięcy widzów. Był młody, koło trzydziestki, w sportowej lnianej marynarce i grubych rogowych okularach.

– Wiesz, czego chcesz od życia i od siebie – wyszeptał. – Fakt, że tu jesteś, to twój wybór i sukces.

– Wcale nie chcę tu być – sarknęła Wieśka. – Podaj mi tę herbatkę!

Nie czekając, aż ktokolwiek zareaguje, sięgnęła po kubek stojący na niskim fotelu.

– To moja! – jęknęła Brygida.

– Chyba zapomniałaś, moja droga, że to ja tu za wszystko płacę! – przypomniała jej Wieśka i wychyliła zawartość kubka do dna.

– Ciociu! Szminka ci się rozmazała! Mówiłam, żebyś nie piła w makijażu.

– To już twoje zadanie, żebym dobrze wyglądała! – burknęła artystka.

Paulina padła przed nią na kolana i próbowała poprawić pędzelkiem szminkę.

– Chcesz poczuć harmonię duszy – kontynuował Gołębiwski modulowanym głosem. – Zjednoczenie twoich pragnień, twojej pierwotnej siły, która w tobie drzemie...

– Nic we mnie nie drzemie! – wrzasnęła Wieśka, aż Paulina odskoczyła ze swoim pędzelkiem. – Chcę, żeby wszyscy się odwalili. A tak w ogóle, gdzie jest Violetta?

Wszyscy zaczęli się rozglądać po garderobie. Wszyscy z wyjątkiem mnie. Mała biała pudliczka siedziała pod moim krzesłem. Najwyraźniej źle znosiła sceniczną treść.

– Ona się boi Sławomira – wyjaśniła Paulina. Wpełzła pod krzesło i pogłaskała pudliczkę. – Spokojnie, malutka. Iguana siedzi zamknięta w swoim terrarium. Nie uszczypnie cię w pupkę jak ostatnim razem.

Do pudliczki nie przemówił ten argument. Odmówiła wyjścia spod krzesła.

– Wieśka, skoncentruj się na moim głosie – przypomniał o sobie Kacper Gołębiwski. – Samoświadomość, którą już osiągnęłaś, pozwoli ci odzyskać zachwiany balans. Energia chi da ci siłę.

– Da? – zapytała z nadzieją Wieśka.

– Złap mnie za rękę. – Gołębiwski podał jej dłoń. – Ta energia już płynie.

– Minuta! – krzyknął ktoś z obsługi technicznej, galopując przez garderobę jak na Wielkiej Pardubickiej.

– Wieśka, tyle razy ci mówiłam, żebyś nie wołała ze sceny „Helol!” bo to zaburza twój wizerunek. Wołaj „Cześć, kochani!”. Jesteś polską piosenkarką, a nie jakąś zagraniczną. Żadne „helol!” – przekrzykiwała harmider kolejna kobieta. To musiała być Magda Sroka, rzeczniczka prasowa Wieśki Orzeł. Twarda sztuka.

– Ja tu kołczuję – rzucił ze złością Gołębiowski. – Jeszcze nie skończyliśmy z energią chi.

– Spadaj – ucięła Sroka. – Wieśka to przecież wulkan energii.

– No... – zaczęła Wieśka.

– To świetnie! A więc „Cześć, kochani!”, żadne „Hełoł!”. A pan czego znowu się tu kręci? – fuknęła na faceta, który wyglądał na hipisa. Takiego, który nie zorientował się w porę, że festiwal Woodstock skończył się dawno temu, i miał nadzieję, że wszyscy zaraz wrócą. Nosił długie siwiejące włosy związane w koński ogon, kolorową marynarkę oraz kilka brzęczących naszyjników i bransoletek. Musiał być tym dziennikarzem, Markiem Szczygłem, piszącym biografię Wieśki Orzeł.

– Kiedyś muszę przecież porozmawiać z moją bohaterką – oburzył się dziennikarz.

– Kiedyś. Nie teraz. Wiesia teraz pracuje.

– Ciągłe to słyszę – zirytował się dziennikarz.

– Dwadzieścia sekund! – huknął technik.

– To niech pan o tym pisze. Że Wieśka Orzeł zawsze pracuje. To jest temat.

– Napisałem. Zajęło mi to dwie strony, a i tak się rozpisałem. Tylko zostało jeszcze czterysta dziewięćdziesiąt osiem – westchnął dziennikarz.

– Nie wejdę. – Wieśka Orzeł kurczowo złapała się poręczy fotela. – Powiedzcie im, że jestem chora.

– Kacper! – ryknęła Magda Sroka. – Gdzie ty łazisz?!

– Miałem spadać – przypomniał Gołębiowski.

– Kołczuj – rozkazała Sroka. – Tylko błyskiem.

– Energia chi przenika twój krwiobieg, krąży w żyłach, napędza komórki, łączy cię ze wszechświatem. – Gołębiowski przyspieszał jak lokomotywa w wierszu Tuwima.

Palce Wieśki Orzeł oderwały się od fotela.

– Co ja miałam mówić? – Zerknęła na rzeczniczkę.

– Zapisałam ci. „Cześć, kochani!”. – Magda Sroka wcisnęła jej karteczkę w dłoń.

Wieśka Orzeł wstała, a dwóch facetów w pantalonach porwało ją na ramiona.

– Wchodzimy! – zagrzemiał techniczny.

– Orzeł nadlatuje! – ryknął głośnik.

– Jezus Maria, iguana uciekła! – krzyknęła Paulina Jastrzębska.

Rozdział 2

Jeśli kiedykolwiek uciekła wam iguana, zapewne wiecie, co robić i gdzie jej szukać. Grupka osób na zapleczu też to wiedziała, z czego wywnioskowałam, że zwierzę dało nogę nie po raz pierwszy. Ale poszukiwania szły opornie. Właściwie nawet się nie zaczęły, rozgorzała natomiast dyskusja, jak się do tego zabrać. To nigdy nie jest dobra strategia, ale nikt z obecnych o tym nie wiedział.

Na scenie grzmiała muzyka, dobiegły mnie słowa: „Dotykasz mą dłoń, widzę twych oczu toń, czuję twą oszałamiającą woń” i ogłuszający aplauz publiczności. Zastanawiałam się, ilu jeszcze fanów spadło z daszku. Nie słyszałam syren, więc założyłam, że liczba ofiar śmiertelnych nadal wynosi zero.

– On jest głodny, musimy go zwabić na jedzenie – przekonywała wszystkich Paulina. – Niech każdy weźmie trochę jedzenia i rozejdźmy się po kątach. Jak Sławomir poczuje zapach, to przybiegnie. Ostatnim razem też tak było. Reaguje również na „cip-cip”.

– Ostatnim razem rzucił się na sałatkę i użarł cię w palec. – Brygida Wrona się skrzywiła. – Nie będę latać z zielskiem za iguaną i wołać „cip-cip”. Od tego powinni być konkretni ludzie. Ja jestem od diety i treningu.

– Nie przesadzajmy, prawie już nie boli. – Paulina się uśmiechnęła. – On to zrobił niechcący.

– Chcący. I cała ręka ci spuchła. A wiadomo, co takie bydlę zrobi tym razem? – odparował Kacper Gołębiowski. – Nawet nie jest zaszczepiony przeciwko wściekliznie.

– Iguany przecież nie chorują na wściekliznę – sprostowała Paulina.

– Wygląda, jakby cały czas była wściekła – uznała trenerka. – Ta iguana potrzebuje seksu. Trzeba jej znaleźć partnera, to będzie siedzieć w terrarium i się bzykać, a nie wymykać się po cichu na amory.

– To przecież on – podkreśliła Paulina. – Ma na imię Sławomir.

– A skąd to w ogóle wiadomo? – Brygida Wrona nie wyglądała na przekonaną. – Poza tym co to za imię dla iguany. Ona w ogóle nie wygląda na Sławomira. Raczej na jakiegoś smoka.

– Wciąż powtarzałem Wieśce, żeby nazwać ją jakoś bardziej po iguanowemu. Ale ona na to: „Ma być Sławomir i basta” – westchnął gorzko Janusz Czapla.

– Ludziom to nie przeszkadza – wtrącił się Szczygieł. – A właśnie, czy pana żona jest w dobrych stosunkach ze Sławomirem? Mam na myśli piosenkarza, a nie iguanę. To byłby świetny materiał na cały rozdział.

– Teraz nie czas na pogaduszki o Sławomirach – przerwała im Magda Sroka. – Trzeba złapać Sławomira.

– Nigdy nie ma czasu. – Szczygieł załamał ręce. – Jak mam napisać biografię pani Wiesławy, skoro nie mam pewności, jakie stosunki łączyły ją ze Sławomirem? Mam na myśli piosenkarza, a nie iguanę.

– Zapewniam pana, że gorące – warknął Janusz Czapla. – I też mam na myśli piosenkarza, a nie iguanę.

– Bez komentarza – ucięła Sroka. – Pani Orzeł nie może potwierdzić bezpodstawnych pogłosek z anonimowych źródeł.

– Nie jestem anonimowy. Jestem jej mężem. Jeszcze – przypomniał Czapla.

– Tekst musi być autoryzowany, żadnych wzmianek o Sławomirze, bo nie dopuszczę do druku. – Sroka wzruszyła ramionami. – Mam na myśli piosenkarza, a nie iguanę.

– Ale o iguanie mogę? – zainteresował się dziennikarz.

– Wyłącznie w sensie zoologicznym i żywieniowym – zgodziła się Sroka.

– Proszę państwa, zgubiliśmy, zdaje się, sedno naszych rozważań – wtrącił się Kacper Gołębiowski. – Powinniśmy sfokusować się na celu, odrzucając uprzedzenia i myśli, które sprawiają, że oddalamy się od znalezienia iguany.

– Nie tak łatwo zapomnieć o tych liścikach – fuknął Czapla.

– Więc były i liściki? Zachowały się? Mógłbym mieć wgląd w korespondencję? – zaciekawiał się Szczygieł.

– Wykluczone, nie potwierdzam istnienia bądź nieistnienia wyżej wspomnianej korespondencji – weszła mu w słowo Sroka.

– Ja mógłbym wiele opowiedzieć – kontynuował Czapla, ignorując rzeczniczkę. – Słyszysz pan to? – Zastygł na moment z palcem w górze. Ze sceny właśnie dobiegały wersy refrenu: „Chcę wrócić do lata, spotkałam Mulata, miłość ulata, odeszłam na lata”. – To była złota płyta, ale czy ktoś pamięta, kto napisał muzykę? No skąd! To jest, proszę pana, temat. Ja mogę panu dużo opowiedzieć, jak piszę muzykę. To wcale nie takie proste, jak by się wydawało. I pod swoim nazwiskiem mogę się wypowiadać, nie jako anonimowe źródło.

– To mi nie pasuje do tematu. Czy moglibyśmy wrócić do życia uczuciowego pani Wiesławy...

– Później. – Magda Sroka ściągnęła brwi. – Muszę stworzyć komunikat prasowy o zaginięciu Sławomira.

– Ale może spróbujemy go najpierw znaleźć? – zaproponowała Paulina. Opadła na kolana i pogłaskała Violettę, która nadal trzęsła się ze strachu pod krzesłem. Być może czuła, że jej arcywróg nie jest już w terrarium, tylko gdzieś w pobliżu.

– Później – stwierdziła Sroka. – Jeśli się okaże, że go jednak nie znajdziemy, musimy mieć pod ręką spójny przekaz prasowy i komunikat. Inaczej będzie problem. Nie mówiąc o tym, co się stanie, jeśli Sławomir pokąsa kogoś z publiczności.

– On by nigdy nikogo nie zaatakował. Przynajmniej nie specjalnie.

– A jednak masz obandażowaną rękę – przypomniał Czapla.

– Byłam nieostrożna. A Sławomir się zestresował. Jest daleko od domu, to normalne – westchnęła Paulina.

– „W sobotę w godzinach wieczornych z garderoby znanej piosenkarki Wieśki Orzeł, której trzy piosenki aktualnie są na liście przebojów, skradziono legwana zielonego” – zaczęła zapisywać Magda Sroka.

– Skąd wiesz, że skradziono? – wtrącił się Czapla.

– Jeśli Sławomir kogoś ugryzie, musimy mieć oświadczenie, że został wcześniej skradziony – wyjaśniła rzeczniczka. – W przeciwnym razie media zarzucą nam zaniedbanie, nieuwagę, brak należytej opieki nad zwierzęciem, narażenie osób postronnych na niebezpieczeństwo...

– Dobrze, niech będzie, że został skradziony. – Czapla machnął ręką.

– Jaszczurka, legwan zielony, mierzy około metra długości. Nie jest niebezpieczna, niemniej nie należy jej drażnić... – Sroka zaczęła gryźć w zamyśleniu długopis. – Muszę zawrzeć w jednym zdaniu komunikat, że nie jest niebezpieczna, ale może ugryźć.

– Może napisać, żeby nie podchodzić – zasugerowała Paulina.

– To by implikowało, że może być groźna – pokręciła głową Sroka.

– Bo jest, cholera, groźna! – wtrącił się mężczyzna stojący do tej pory na uboczu. Mój wcześniejszy research na temat trupy Wieśki Orzeł ujawnił, że to kierowca tego wędrownego cyrku. Sebastian Papuziński miał się różnych zawodów, jeździł Uberem, a w sezonie koncertowym woził Wieśkę Orzeł i całą ekipę.

– Powie pan coś więcej? – zainteresował się Marek Szczygieł. – Komentarz osoby bezpośrednio odpowiedzialnej za bezpieczeństwo ekipy?

– Później – skwitowała Magda Sroka.

– No przecież, cholera, cały czas syczy gad jeden – wyjaśnił Papuziński. – Wczoraj wrzuciłem mu zielsko do klatki, a on jak

się na mnie nie rzuci! Normalnie jak brytan jakiś. Za nic takiego dziwadła bym w domu nie trzymał.

– Bo podchodzi pan do tego nieodpowiednio. Spina się pan – wtrąciła Paulina. – Na mnie nigdy nie syczy, mogę mu wkładać do terrarium, co chcę. I wyjmować. Jego też bez problemu wyciągam. Po prostu trzeba to zrobić na spokojnie.

Papuziński aż wzdrygnął się na myśl, że miałby własnoręcznie wyjmować Sławomira z terrarium.

– Panie Sebastianie, dziękuję za uwagi, ale proszę się zająć szukaniem zaginionego Sławomira – poinstruowała Magda Sroka.

– Ja? A dlaczego ja? – zdumiał się Sebastian. – Przecież właśnie mówiłem, że on na mnie syczy.

– Widzi pan, że wszyscy są zajęci. – Rzeczniczka wruszyła ramionami. – Ja przygotowuję komunikat prasowy. Pani Paulina jest niedysponowana z powodu wcześniejszego ugryzienia. Pan Kacper nas motywuje. Pan Janusz musi czuwać nad linią melodyczną, a pani Brygida być w gotowości.

– Tak, nie mogę się ruszyć z miejsca – potwierdziła Brygida Wrona.

– Może tak: „Skradziony legwan zielony jest bardzo łagodny, ale przyzwyczajony wyłącznie do kontaktu z bliskimi osobami” – zdecydowała Magda Sroka. – Z jednej strony przekazujemy w ten sposób komunikat, że to łagodne stworzenie, a jednocześnie podprogowo informujemy, że gdziekolwiek się znajduje, to nie z powodu naszego niedopatrzenia, ale działania siły wyższej, czyli złodzieja. A jednocześnie wysyłamy dwie ważne informacje. Pierwszą o tym, że to stworzenie dobrze ułożone, czyli nie zaniedbaliśmy opieki. I drugą, najważniejszą, że toleruje wyłącznie właścicieli, więc należy ich zawiadomić, a nie dotyczyć legwana, bo jednak może to grozić konsekwencjami, choć nie piszę o tym wprost, żeby nie siać paniki. Znakomite.

– Jeśli chcemy znaleźć iguanę, musimy zacząć myśleć jak iguana – podkreślił Kacper Gołębiowski.

– To w końcu legwan zielony czy iguana? – zapytał Sebastian. – Bo już się gubię.

– Jeden pies – skwitował Janusz.

– Sebastian, rusz tyłek i szukaj – poleciła Brygida.

– Nie wiem, jak myślą iguany – obruszył się Sebastian.

– Legwany zielone – doprecyzowała Magda Sroka.

– Jeden pies – mruknął znowu Czapla.

– Mógłbyś wziąć ze sobą trochę truskawek. Ona je uwielbia – podsunęła Paulina.

– To w końcu ona czy on? – pogubił się kierowca. – Sławomir czy Sławomira, legwan czy iguana?

– Jeden pies – sapnął Janusz.

– Uwielbia truskawki – podkreśliła Paulina.

– Wrzuciłam jej kiedyś całą kobiałkę i nie ruszyła, a inne zielsko żarła jak królik – zaprzeczyła Brygida Wrona.

– Bo to było w sezonie na truskawki – wyjaśniła Paulina. – Codziennie je dostawała i się jej przejadły. Każdemu może się to zdarzyć.

– Fakt – przyznał Marek Szczygieł. – Kiedyś zaproszono mnie na konferencję do Paryża i przez cztery dni jadłem ostrygi. Czwartego dnia nie mogłem już na nie patrzeć.

– Sebastian, jeśli chcesz pokonać drogę, musisz pamiętać, że najpierw trzeba zrobić pierwszy krok. – Kacper Gołębiowski spojrział na kierowcę hipnotyzująco zza rogowych okularów.

– Za cholerę nie wiem, gdzie poszła ta małpa, to znaczy iguana, więc w którą stronę mam zrobić ten krok? – marudził Sebastian.

– Twoje ciało cię tam zaprowadzi, jeśli pozwolisz umysłowi płynąć – kontynuował kołcz.

– A nie mogłoby ciało zaprowadzić kogoś innego? Poza tym nie mamy truskawek – zauważył Sebastian.

– Mamy winogrona. Nie mam pojęcia, czy ona je tknie. – Brygida Wrona zlustrowała stolik z przekąskami. – Oraz czipsy. Odradzałam je przecież.

– Sławomirowi? – zdumiała się Paulina.
– Wieśce! – fuknęła Wrona. – Ale co z tego, że się produkuję, skoro ona wie lepiej i potem kostium sceniczny na niej pęka.
– Ona zawsze wszystko wie lepiej – zgodził się Janusz Czapla.
– Powie pan coś więcej? – zapalił się Marek Szczygieł.
– Później – uciszyła go Magda Sroka. – Sebastian, weź wreszcie te winogrona i idź szukać Sławomira. Wieśka kończy za trzy minuty. Jeśli tu wejdzie, a jej pupila nie będzie, zaczniesz się piekło. A tego nie chcemy.

Wszyscy obecni pokiwali głowami. Zdecydowanie tego nie chcieli.

– A jeśli dostanie sraczki po tych winogronach? – Sebastian usiłował się bronić. – Będzie na mnie.

– Legwany zielone nie miewają sraczki – wyjaśniła Magda Sroka.

Chętnie posłuchałabym dłużej. Wtedy jednak zostalibyśmy tutaj nie kilka godzin, niezbędnych, żeby spakować sprzęt i ruszyć w dalszą drogę, ale kilka dni. Zwłaszcza gdyby Kacper Gołębiowski postanowił porządnie skończować kierowcę.

Chociaż może wtedy nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło.

Wyszłam na dwie minuty. Kiedy ponownie zjawiłam się w garderobie, dyskusja była dokładnie w tym samym punkcie co wcześniej.

– Gdzie ja o tej porze dostanę truskawki? – wykręcał się Sebastian. – Miałem być tylko kierowcą.

– No właśnie, masz po nie pojechać – tłumaczyła cierpliwie Magda Sroka. – Do jakichś całodobowych delikatesów, na pewno będą mieli.

– Otworzy ktoś terrarium? – poprosiłam. – Nie mogę go puścić na podłogę, bo Violetta i tak już dygocze ze strachu.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Wiecie, trochę niewygodnie się chodzi, nie mówiąc o wykonywaniu innych

czynności, z wielką jaszczurką, iguaną, legwanem zielonym, Sławomirem – zresztą jeden pies – na rękach.

– Sławomirku, gdzie ty sobie poszedłeś? – Paulina wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać gada, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie o opatrunku i tylko się do niego uśmiechnęła. – A czemu jesteś taki biały?

Legwan rzeczywiście miał wzdłuż grzbietu szeroki biały pas. Musiał wytrzeć się o jakąś świeżo malowaną ścianę.

– Tylko pamiętajcie: nikt nie może Wieśce pisnąć ani słowa, że Sławomir zaginął – pouczyła zebranych Magda Sroka. – Cały czas siedział w terrarium.

– Jakim cudem go znalazłaś? – Brygida Wrona wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Cuda wchodzą w zakres moich codziennych obowiązków Home Disaster Manager – wyjaśniłam.

Spojrzeli na mnie z podziwem i o to mi chodziło. Poza tym gdybym zdradzała każdemu swoje metody, nie zgarniałabym takich gigantycznych gaży. Każdy musi mieć swoje tajemnice.

Rozdział 3

Widzowie nie dali Wieśce Orzeł tak łatwo zejść ze sceny. Musiała jeszcze bisować i za kulisy dobiegły takty szlagieru *Mój chłopak przez pola kombajnem swym gna*. Rozbudowana opowieść o młodym człowieku, który pędzi do swojej wybranki na przemian na traktorze i luksusowym kabrioletem – swoją drogą niejasne, w jaki sposób się między nimi przesiada – dała nam czas na umieszczenie Sławomira w terrarium. Zanim chłopak dotarł do krańca pola, legwan siedział już na swoim miejscu. A kiedy się przesiadł (chłopak, nie Sławomir) z kombajnu do porsche, zwierzak żuł z namysłem rukolę, jakby od początku koncertu nie zajmował się niczym innym.

W końcu Wieśka Orzeł pojawiła się w drzwiach garderoby. Wbiegła na czubkach palców, lekko jak tancerka, ale gdy tylko fani stracili ją z oczu, padła na fotel.

– Zdycham! – jęknęła i krzywiąc się z bólu, wyciągnęła nogę w kierunku Pauliny. – Te buty do niczego się nie nadają. Za ciasne, nogi mi poobcierały. Mówiłam, że tak będzie.

– Też tak mówiłam. – Usta Pauliny wygięły się w podkówkę.

– Musisz pamiętać, moje dziecko, że ja potrzebuję wygodnych butów.

– Ale przecież...

– To dramat! Jak ja mam w takich butach zdobywać popularność, kiedy czuję, że zaraz w nich umrę? Czy naprawdę za dużo wymagam, jednej pary sensownych butów?

– Ma ze dwieście par – syknął scenicznym szeptem Czapla, ale żona najwyraźniej go nie usłyszała.

– Magda, zapisz, żeby kupić coś na moją nogę. To chyba nie jest żaden wyczyn?

– Żaden. – Magda Sroka zanotowała polecenie w swoim terminarzu.

– Tak przy okazji, dzwoniłaś na Wembley?

– Gdzie? – Magda zbladła.

– Na Wembley albo do Coachelli, drogie dziecko. Przecież rozmawialiśmy o tym, że moja kariera ma się rozwijać, a nie zwijać. Orzeł musi wylecieć poza Polskę, rozwinąć skrzydła.

– Tak, ale...

– Znowu to „ale”. Nie chcę słyszeć żadnego „ale”. Chcę słyszeć: „Ależ oczywiście, zadzwoniłam i mamy już kontrakt”. A więc: zadzwoniłaś?

– Ależ oczywiście, że zadzwonię.

– A masz numer?

– Na Wembley?

– Przecież nie do szewca – fuknęła Wieśka.

– Zdobędę.

– To jakiś dramat. – Wzrok piosenkarki padł na mnie. – Pani Lucjo, sama pani widzi, z kim ja muszę pracować.

Pozostali też na mnie popatrzyli i nie były to najbardziej przyjazne spojrzenia, jakimi mnie kiedykolwiek zmierzono.

– Może pani pomogłaby Magdzie w tym telefonie, bo biedaczka sobie nie radzi? To jakiś dramat.

Gdyby oczami dało się zabijać, byłabym już martwa i spopielona. Na szczęście menedżerka Wieśki Orzeł nie opanowała jeszcze tej sztuki, choć była blisko.

– Chętnie pomogę. – Skinęłam głową.

– Łatwo obiecać – prychnęła Magda Sroka. – Ale spróbuj coś z nimi załatwić. Odsyłają do szefa, Alexandra Gowena, a ten jest wciąż nieosiągalny.

– To dlatego, że w soboty wieczorem gra w karty z przyjacielem z Eton. – Nie musiałam wchodzić w szczegóły, ale chciałam zobaczyć ten wyraz twarzy i nie zawiodłam się. Magda Sroka zastygła z ustami w kształcie litery O. – Mam do niego prywatny

numer – dodałam. – Zawsze odbiera. Chyba że nie idzie mu w wista, co zdarza się ostatnio dość często. Ale wtedy oddzwania. Z tym że jeśli przegrywa, dużo klnie. Trzeba przeczekać.

– O – powiedziała Wieśka Orzeł.

– Najlepiej zadzwonić zaraz po lunchu, koło trzynastej dziesięć. Lubi sobie zjeść i po posiłku jego spojrzenie na świat staje się bardziej różowe. Lub raczej mniej czarne.

– O. – Tym razem to była Magda Sroka.

– I właśnie dlatego zaangażowałam Lucję – westchnęła Wieśka. Spojrzała na Magdę. – Sama słyszałaś. Trzeba zadzwonić o trzynastej dziesięć.

Tym razem wzrok rzeczniczki nie wyrażał chęci spopielenia mnie. W jej oczach czaiła się wyraźna żądza bardziej wyrafinowanego mordy – wystrzelenia mnie z armaty, poszatkowania, a być może również zakopania w mrowisku.

– Masz w sobie moc relacji. Kiedy odrzucisz to, co cię ogranicza, popłyniesz na skrzydłach swych możliwości – poradził kołcz.

– Walenie w bambus. – Wieśka Orzeł się skrzywiła. – Możliwości, relacje, ograniczenia... A to wy mnie ograniczacie.

– Te przeszkody zniknęłyby szybciej, gdybyśmy mieli więcej czasu na wspólną pracę – wyjaśnił Kacper Gołębiowski. – Mój autorski program sesji budzący energię chi...

– Człowieku, nie będę medytowała przez dwie godziny dziennie, żeby coś budzić. Ja jestem zajęta baba. Najęłam cię, żeby to wszystko od razu się obudziło – fuknęła Wieśka. – To jakiś dramat.

– Możemy od razu wejść w program autorski dla ludzi cierpiących na brak czasu, trwa tylko cztery tygodnie... – zaczął modulowanym głosem Gołębiowski, ale Wieśka przerwała mu zniecierpliwiona.

– Za cztery tygodnie to ja mogę zejść na raka czy coś. Oczekuję efektów. A zamiast nich mam defekty. Nawet spódnica wciąż mi

pęka. Czy ktoś się tym przejmuje? A skąd!

– Ale... – zaczęła Brygida Wrona, czując się wywołana do odpowiedzi.

– Co ja właśnie powiedziałam o „ale”? Nie chcę słyszeć żadnego „ale”!

– Mój program ćwiczeń prowadzących do utraty wagi jest niezawodny.

– Najwyraźniej zawiódł. – Wieśka wskazała kolejne pęknięcie w spódnicy.

– Ten program zakłada regularne ćwiczenia i ograniczenie kalorii – tłumaczyła Wrona.

– Jakbym chciała się dowiedzieć, że trzeba ćwiczyć i mniej jeść, to przeczytałabym w gazecie – prychnęła Wieśka. – A skoro wynajmuję trenerkę personalną, to żądam efektów. Czy ja źle myślę, pani Lucjo?

Westchnęłam w duchu. Jedna osoba, która chce cię utopić w kałuży, a potem skakać po twoim martwym ciele, to nie problem. Ale Wieśka chciała chyba, żeby jej ekipa rozprawiła się ze mną jak wrogowie z Rasputinem. On też kurczowo trzymał się życia, ale trucizna, strzały z pistoletu, duszenie i topienie pod lodem w końcu zawsze przynoszą efekt.

– To jakiś dramat, pani Lucjo – westchnęła Wieśka Orzeł. – Nie mogę się doprosić o najdrobniejszą rzecz. Proszę mojego kompozytora, żeby trzymał się cis. Ale czy on mnie słucha? Skąd. Wchodzi w dur.

– Pani Lucja wie, że jestem twoim mężem – przypomniał Janusz Czapla.

– Wie pani? – Wieśka Orzeł na mnie spojrzała.

– Oczywiście – przyznałam. Nie dodałam, że ja zawsze wszystko wiem. Prędzej czy później sami się domyślą.

– No widzi pani! Nawet tego nie potrafią utrzymać w tajemnicy. To jakiś dramat!

– Nie rozumiem, po co ukrywać nasze małżeństwo! – wybuchnął Czapla.

– Kwestia image’u. Wolna jak Orzeł – rzuciła krótko Magda Sroka.

– Przecież orły żyją w parach. – Czapla zaśmiał się z goryczą.

– Chodzi o wolnego orła, który szuka towarzysza – wyjaśniła Sroka.

– Lepszy byłby efekt dwóch orłów. Zawsze to mówiłem. Jeden śpiewa, a drugi podrzuca mu linię melodyczną. To dopiero byłby hit.

– Nie byłby – zaproponowała Wieśka. – To idiotyczne. Jeden orzeł, który wzlatuje coraz wyżej, sugeruje fanom... Magda, co on sugeruje?

– Wolność, oderwanie od codzienności, nowe możliwości.

– Właśnie. A jakie byłyby nowe możliwości, jak leci za tobą mąż? I do tego jeszcze czapla. Żeby obiad na czas przygotować? To jakiś dramat.

– To byłby ciekawy wątek w mojej książce – wtrącił Szczygieł. – Relacje w związku.

– Później – zgasiła go Sroka.

– A pan też naobiecował: biografię, rozgłos... I gdzie ta książka? – wypominała Wieśka.

– Jak mam skończyć, kiedy wciąż słyszę „później”? – zirytował się Szczygieł.

– To jakiś dramat. – Wieśka Orzeł położyła sobie na czole ręcznik podany przez Paulinę. – Przecież wciąż jest pan obok, może pan obserwować, pytać, kończyć książkę. Sama bym przez ten czas ją napisała.

– Nawet nie wiem, kiedy wzięli państwo ślub...

– W dziewięćdziesiątym siódmym – podsunęłam.

– Serio? – Spojrzał na mnie badawczo. – Dziękuję bardzo.

– Pomińmy to – rozkazała Wieśka Orzeł.

– Jak to „pomińmy”?! – Janusz Czapla skoczył na równe nogi.

– Niech pan to jakoś tak zręcznie opisz, żeby wynikało, że znamy się z Januszem od dawna i łączy nas przyjaźń. Może nawet kiedyś... Magda, co zdarzyło się kiedyś?

– Kiedyś, na początku tej znajomości, wydawało się, że między wami zaiskrzyło, i wdaliście się w ognisty romans. Potem jednak uznaliście, że łączą was tylko relacje zawodowe, żeby domowe kłótnie nie wpływały na współpracę. Oboje darzycie się przyjaźnią i wspieracie, ale znaleźliście szczęście w ramionach innych.

– Sławomira – prychnął Janusz Czapla.

– A więc to prawda z tym romanssem? – Marek Szczygieł zapisywał wszystko w notesie.

– Panią Wieškę Orzeł i Sławomira łączą od dawna więzy szczerzej przyjaźni i współpraca na polu zawodowym. Oboje mogą liczyć na siebie w trudnych chwilach – wyrecytowała Magda Sroka.

– Łobuz – sapnął Janusz Czapla.

– No i widzi pan, ma już pan wszystko. Nic, tylko siadać i pisać.

– Ale... – zaczął Szczygieł.

– Nikt mnie nie słucha – jęknęła płaczliwie Wieška Orzeł. – Nienawidzę „ale”. To jakiś dramat, nikt o tym nie pamięta. Czy w ogóle ktoś myśli o tym, że trzeba się spakować? I proszę ostrożnie ze Sławomirem.

– Łobuz – sapnął Czapla.

– Z moim Sławomirem. – Wieška Orzeł wstała, odrzuciła ręcznik i podeszła do terrarium. – Tylko on mnie kocha. A dlaczego ma jakiś inny kolor? Skąd ten biały pas na grzbiecie?

– Legwany zielone zmieniają kolor, kiedy dorastają – zaimprovizowała Magda Sroka.

– Bardziej podobał mi się w poprzednim ubarwieniu. – Wieška zmarszczyła brwi. – Chodź do pańci, skarbie.

To ostatnie było do Sławomira, chociaż trudno mi było ocenić, czy zrozumiał.

Wieśka pochyliła się i wyjęła legwana z terrarium. Zapomniana, siedząca pod krzesłem Violetta szczerknęła krótko, a potem spróbowała stać się niewidoczna.

– Kiedyś Wieśka ją kochała najbardziej – szepnął do mnie w zamyśleniu Kacper Gołębiowski. – A potem pojawił się Sławomir. Ale piesek tęskni za swoją panią. Oj, tęskni...

– Sławomir, jaki ty się zrobiłeś gruby – sapnęła Wieśka, po czym zwróciła się z pretensją do swojej ekipy: – Dlaczego jest z niego teraz taka beczka?

– Po prostu urósł – wyjaśniła Paulina. – Legwany zielone mogą osiągnąć długość do...

– Bzdura! Przekarmiacie go. Teraz jest za duży, żeby go wziąć na kolana. – Wieśka usiadła w fotelu i próbowała ułożyć sobie gada na podolku, ale Sławomir rzeczywiście był za wielki i omal nie ześlizgnął się na podłogę. – I jak ja mam się z nim teraz fotografować? Trzeba będzie go oddać! – zadecydowała.

– Ciociu, nie! – wyrwało się Paulinie.

– Nie bądź głupia, weźmiemy następnego. Mniejszego.

– Ten zwierzak to Sławomir numer trzy – wyszeptał mi do ucha kołcz. – Poprzednie też za bardzo urosły i poszły do schroniska.

– Są schroniska dla legwanów zielonych? – zdziwiłam się.

– Ciociu, on jest taki kochany! – próbowała jeszcze Paulina. – I tak bardzo się do ciebie przywiązał!

– Przywiązany to on jest tylko do ciebie, i to też mnie wkurza – stwierdziła krótko Wieśka. – W końcu to mój legwan, a ty go rozpieszczasz, przekarmiasz i przywiązujesz. Jak skończymy trasę koncertową, masz zadzwonić do schroniska. Sebastian go zawiezie.

Paulina Jastrzębska przełknęła łzy. Wieśka tymczasem przełknęła herbatę, która stała na stoliku.

– To moja – przypomniało się Magdzie Wronie.

– Chyba zapomniałaś, moja droga, że to ja tu za wszystko płacę – sarknęła Wieśka. – I czemu się tak grzebiecie?

Podąła Paulinie Sławomira.

– Wsadź go do tej składanej podróźnej klatki. Jeśli się w niej jeszcze w ogóle zmieści. A kierowca niech spakuje terrarium. Gdzie jest ten chłopak?

– Ale ja miałem tylko jeździć – jęknął Sebastian, wyłaniając się z cienia. – To terrarium waży tonę.

– Każdy by chciał zarabiać duże pieniądze za nic. – Wieśka Orzeł wzruszyła ramiona. – Czy mnie ktoś płaci za to, że jeżdżę?

– No tak...

– A w dodatku wozisz nas zawsze jakimiś bezdrożami. – Piosenkarka tupnęła nogą. – Kierowca powinien wiedzieć, któredy najszybciej i najbardziej ekonomicznie dojechać do celu. Czy to tak trudno pojąć? Pani Lucjo, skonsultowałaby pani trasę, zanim ruszymy? Nie chciałabym znowu utknąć na jakimś bezdrożu.

– Oczywiście. – Wytrzymałam spojrzenie kierowcy. Tak, zgadliście. W jego wzroku również czaiło się pragnienie mordy.

– I niech ktoś spakuje jedzenie. – Wieśka spojrzała na rozstawione na stole przekąski. – Samo się nie kupiło. Będzie akurat na drogę.

– Ale zostało tylko trochę winogron i słonych paluszków – zauważyła Paulina.

– No właśnie, drogie dziecko. Winogrona są bardzo zdrowe, a paluszki sprawiają, że nie czuje się głodu. Pieniądze nie rosną na drzewach.

– Ale... – powiedział Janusz Czapla.

Wieśka Orzeł podniosła oczy do nieba.

– Pani Lucjo, sama pani widzi. Zero współpracy. To wszystko jakiś dramat. Niech ktoś mi zrobi ciepłej herbatki, ale raz-dwa! I na drogę też, do termosu!

Utkwiony we mnie wzrok obecnych do złudzenia przypominał wzrok Hawajczyków chwilę przed tym, jak dopadli Jamesa Cooka

i go zjedli.

Rozdział 4

– Widziała pani coś takiego? Cacuszko – pochwalił się Sebastian, jakby sam skonstruował ten autobus albo przynajmniej trzymał go w rodzinie od pokoleń.

– Widziałam, również w najbogatszej wersji, z jacuzzi.

Mina mu trochę zrzędała.

Autobus, którym podróżowała Wieśka Orzeł z ekipą, autobusem był tylko z nazwy. Moja pracodawczyni wspomniała, że będziemy przemieszczać się busikiem. Stałam przed tym pojazdem i „busik” nie było pierwszym słowem, które przychodziło mi na myśl.

Ze środka wyjęto normalne fotele. Połowę wnętrza zajmowały eleganckie skórzane siedzenia i kilka stoliczków. Reszta była prywatnym królestwem Wieśki Orzeł. Prowadziły do niego okazałe drzwi w mahoniowym fornirze.

– Mam tu listę rzeczy do zrobienia przed wyjazdem. – Podałam kartkę Magdzie Sroce. – Oraz spis bagaży.

– Radzimy sobie – mruknęła.

– Z moją listą poradzimy sobie szybciej – zasugerowałam.

Wydała z siebie coś jakby fuknięcie, ale sięgnęła po kartki.

Rozglądałam się po wnętrzu, kiedy przy mahoniowych drzwiach rozległ się cichy gong i zapaliła się zielona lampka.

– Pani Orzeł może panią przyjąć. – Na ustach Magdy Sroki zakwitł drwiący uśmiech.

Przeszłam przez te mahoniowe drzwi i znalazłam się w buduarze szalonego cukiernika. Lub we śnie przeciętnej ośmiolatki. Zresztą może na jedno wychodzi. W sypialni Wieśki Orzeł wszystko było milusie i futerkowe, futerka zaś – białe lub (niestety) różowe. Natomiast nieliczne elementy niepokryte różowym futerkiem lśniły blaskiem złota. Krótko mówiąc, całość

robiła piorunujące wrażenie. Tylko wielkie terrarium Sławomira odstawało designem, ale Wieśka Orzeł zarzuciła na nie złotą ażurową kape.

Pośrodku tego wszystkiego królowało łoże z baldachimem. Oczywiście złotym, z narzutą – rzecz jasna różową.

– Siadaj, moja kochana. – Wieśka Orzeł uśmiechnęła się szeroko.

Leżała na łożu w czerwonym szlafroku (oczywiście wykończonym futerkiem). Na twarzy miała ledową maskę, lśniąca upiorną turkusową poświatą, a w uszach słuchawki.

– Słyszę cię doskonale – zapewniła. – Słucham w tle szumu nadmorskich fal, to znakomicie wycisza i relaksuje. Wszystko ci się podoba?

Nie byłam pewna, czy pytanie dotyczy pracy, pozostałych członków ekipy, czy futerek, ale na wszelki wypadek skinęłam głową.

– Bardzo się cieszę. – Na jej twarzy pojawił się grymas i maska się przekrzywiła. – Ci wszyscy ludzie są tacy nieogarnięci.

– Może są niezadowoleni z warunków pracy? – wysunęłam przypuszczenie.

– Bzdura! – wykrzyknęła. – Widziałaś te fotele w salonce? Wiesz, ile kosztuje sztuka? Robię wszystko, żeby w trasie wygodnie im się siedziało.

– Miałam na myśli warunki kontraktów – doprecyzowałam. Przeczytałam, oczywiście, wszystkie umowy. Obowiązki zatrudnionych zajmowały kilkanaście stron, kary za złamanie zapisów kolejnych kilka, za to prawa mieściły się w jednym paragrafie. A wynagrodzenie nie przekraczało średniej krajowej.

– Bzdura, kochanie, oni są zachwyceni, że mogą pracować z uznaną artystką – wyjaśniła Wieśka Orzeł. – Sami mnie błagali, żebym ich zatrudniła. Dzięki mnie liznęli sławy. Teraz wszyscy wiedzą, kto stoi za moim sukcesem. Zarobią kiedyś miliony.

– Być może chcieliby zarobić już teraz? Choćby tysiące? – zastanowiłam się na głos.

– Bzdura – powtórzyła Wieśka. – Wszystko tu mają zapewnione. Na przykład te owoce i przekąski. Mogą zajadać się do woli.

– Winogrona i paluszki?

– Strasznie dużo ich zjadają – westchnęła Wieśka Orzeł. – A przecież pieniądze nie rosną na drzewach. W dodatku wszyscy zbijają bąki, zamiast pracować. Ileż ja się muszę dopraszać o najdrobniejszą przysługę. Na przykład, żeby ktoś raczył wyprowadzić Sławomira i Violetę na spacer.

– Oni się nie lubią – zauważyłam. – A konkretnie to Sławomir nie lubi Violety i na nią syczy. A Violetta na widok Sławomira trzęsie się ze strachu.

– Naturalnie, że się nie lubią. Są iguaną i psem. Powtarzam więc ciągle, że muszą być wyprowadzane oddzielnie i nie mogą się spotykać w autobusie czy garderobie.

– Może byłoby lepiej, gdyby Sławomir mieszkał cały czas w terrarium – podsunęłam. – Ma grube szyby i jest dobrze zabezpieczone. Wtedy nie miałby szansy pogryźć Violety.

– Terrarium go ogranicza – westchnęła ponownie Wieśka Orzeł. – Sławomir, podobnie jak ja, pragnie od życia czegoś więcej.

– Iguany zwykle cenią sobie skałki i gałęzie, na których mogą siedzieć, oraz ciepłe miejsce, żeby się wygrzewać – zauważyłam. – I to wszystko zapewnia Sławomirowi terrarium.

– Gdybym była iguaną, z pewnością chciałabym czegoś więcej od życia. – Wieśka obstawała przy swoim. – Poczuć wiatr we włosach...

– Iguany nie mają włosów.

– ...poznawać świat. W końcu tam, skąd pochodzą... Skąd one pochodzą?

– Z Ameryki Środkowej.

– Właśnie. Tam hasają na wolności.

– Tam jest cieplej – podsunęłam.

– Właśnie! I nikt o tym nie pamięta! – jęknęła. – Dasz wiarę, że kiedyś wyprowadzili Sławomira na dwór jesienią? Przeziębił się. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, jakie temperatury panują jesienią w Ameryce Środkowej. Wszystko na mojej głowie.

Taktownie pominęłam tę uwagę milczeniem.

– Dlatego właśnie zatrudniłam ciebie – dodała Wieśka Orzeł. – Żebyś ich wzięła do galopu.

– Nie są zachwyceni.

– Nie zamierzam ich o to pytać! – oświadczyła. – Po prostu trzeba ich pogonić. Bo znajdują tysiące wymówek, żeby nie pracować. Niedługo będę musiała sama przyszywać sobie guziki, szyć sukienki, robić makijaż, komponować piosenki i utrzymywać się w dobrym nastroju. I jeszcze może sama mam schudnąć, co? Najpierw obiecują, że moje życie się odmieni, a potem okazuje się, że nic z tego. A gdzie by oni wszyscy byli, gdybym nie śpiewała? No gdzie?

Jestem taktowna, więc ponownie nic nie odpowiedziałam.

– Mogłabyś sprawdzić, czy znowu nie wyprowadzili Sławomira na ulicę? Miesiąc temu kierowca zabrał go na spacer i jakiś straszny pies zaczął na niego szczekać, a potem go ugryzł. Na szczęście kierowcę, nie Sławomira. Mój legwanek okropnie się zestresował.

– Ale przecież i tak chce go pani oddać – przypomniałam.

– Bo strasznie przytył. Już nie da się posadzić go na ramieniu, a po co mi iguana, z którą nie mogę się sfotografować w takiej pozie?

Nie powiedziałam, że w schronisku, do którego Sławomir niedługo trafi, też się na pewno zestresuje.

– Przyprowadzę go – obiecałam zamiast tego.

– Dziękuję. – Wieśka uśmiechnęła się. – I niech nikt mi nie przeszkadza.

Wyszłam przez mahoniowe drzwi i trafiłam w sam środek tornada. Oprócz współpracowników Wieśki Orzeł po autobusie kręcili się członkowie ekipy technicznej z pudłami. Miałam wrażenie, że niektórzy z nich wynoszą rzeczy, które wcześniej przynieśli inni.

– Ale burdel! – sapnął Sebastian. Wyglądał na rozbawionego zamieszaniem.

– Te pudła miały iść do tira. – Zerknęłam na sygnatury na paczkach. – Zapisałam na liście. Co się z nią stało?

– Sławomir zeżarł – oznajmił radośnie Sebastian.

– A spis bagaży?

– A, to Violetta – ucieszył się jeszcze bardziej. – Co prawda potem wypłuła, ale nic się nie dało odczytać.

– Czy któreś zwierzę zjadło coś jeszcze? – zapytałam.

– Tak, umowy zlecenia dla ekipy technicznej – dodał. – Są niezłe wkurzeni, bo nie dostaną teraz przelewów. Dlatego przynieśli tu rośliny. – Wskazał na kilka doniczek.

– Sławomir ich nie zjadł?

– Jedną owszem. Chyba był głodny, bo jego jedzenie, zdaje się, powędrowało do tira, na sam spód.

– W tym tempie nie wyjedziemy nawet za dwanaście godzin. – Pokręciłam głową. – A na miejscu musimy być najdalej za osiem, jeśli technicy mają zdążyć rozstawić sprzęt przed koncertem.

– Mam opracowany genialny skrót – uspokoił mnie Sebastian. – Dojedziemy na miejsce nawet przed czasem.

Podeszła do nas Brygida Wrona.

– Czy Wieśka już śpi?

– Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać – wyjaśniłam.

Wronę to wyraźnie zmartwiło.

– W kuchence są moje płatki – wyjaśniła. – A kuchenka znajduje się za kabiną Wieśki. Może mogłaby mi pani przynieść? Pani się Wieśka nie będzie czepiać. A to są specjalne płatki, makrobiotyczne. Nie mogę się do nich dostać od wczoraj. Od

słonych paluszków chce mi się już rzy... to znaczy mam od nich mdłości.

– Skoro już tam pani idzie, pani Lucjo, to niech pani też przyniesie parówki. Mam takie specjalne, z jalapeño. – Sebastian złożył ręce jak do modlitwy.

Skinęłam głową. Ale zamiast do kabiny Wieśki najpierw ruszyłam na poszukiwanie Sławomira. Był niedaleko. Siedział na drzewie przy parkingu. A pod drzewem stał kołcz.

– To nie to, co pani myśli – zastrzegł, kiedy podeszłam.

– A co myślę?

– Ludzie zwykli przyjmować najprostszą wersję rzeczywistości i wpadać w automatyczne wnioskowanie, nieoparte na przesłankach. Nie poświęcają chwili, żeby dotrzeć do sedna zagadnienia.

– Czyli iguany, którą trzeba ściągnąć z drzewa?

– Nie, ona jest tu przedmiotem, a nie podmiotem – wyjaśnił. – Dopiero kompleksowa ocena sytuacji pozwala ją zrozumieć i przejść do rozwiązania problemu.

– Czyli do ściągnięcia iguany – powtórzyłam.

– Upraszcza pani, a uproszczenia się mszczą. Myśli pani, że się zagapiłem, wyprowadzając iguanę, a wtedy ona zwała na drzewo. Ale to mylne rozumowanie.

– Ależ skąd, wcale tak nie myślę – zaprzeczyłam uprzejmie. – Myślę natomiast, że wsadził ją pan na drzewo specjalnie, żeby zrobić jej zdjęcie. Na swojego Instagrama „Mądrość iguany” wrzuca pan zdjęcia Sławomira z motywującymi tekstami. A dokładnie pięć minut temu zamieścił pan zdjęcie Sławomira na drzewie z mottem: „Niemożliwe nie istnieje. Nawet gdy jesteś jaszczurką z Meksyku, możesz wspiąć się na lipę, jeśli tego naprawdę pragniesz”. Tak nawiasem mówiąc, to osika.

– Co pani powie.

– Niestety – uśmiechnęłam się.

– Do osiki to nie pasuje – zafrasował się. – Widziała pani gdzieś tu w okolicy dąb? Najlepszy byłby dąb.

– Niech pan przyniesie drabinę – poradziłam. – Jest w tirze, z lewej strony, pod wykładziną.

Wrócił po kilku minutach. Przytargał drabinę, przystawił ją do drzewa i ściągnął Sławomira na dół.

– Zaniosę go pani Wiesławie – powiedziałam i zobaczyłam, że twarz Gołębiowskiego przybiera wyraz wyczekiwania.

– A skoro pani tam będzie... – zaczął.

– Co przynieść z kuchni? – ucięłam.

– Mam yerba mate w szafce w aneksie kuchennym.

Skinęłam głową, dopisując to w pamięci do reszty rzeczy.

Rozdział 5

Podobno w czasach, gdy w gazetach ukazywały się codziennie powieści w odcinkach, jeden z autorów, rozgoryczony niskim honorarium, postanowił zaszantażować wydawcę. Zakończył kolejny odcinek sceną, w której bohater wyskakuje z samolotu bez spadochronu. Następnie udał się po podwyżkę, grożąc, że w razie odpowiedzi odmownej nie napisze następnej części. Wydawca nie uległ szantażowi. Zwolnił autora, a napisanie kolejnego odcinka zlecił innemu. Ten, nie mając pojęcia, jak inaczej wybrnąć z sytuacji, zaczął tekst od słów: „Cudem wyszedłszy z tych opresji, nasz bohater...”.

Mogłabym powiedzieć to samo. Początkowo wydawało się, że wyjedziemy za dwa tygodnie, a część podróżujących zgubi się po drodze. Ale cudem wyszedłszy z tych opresji, wszyscy nasi bohaterowie siedzieli w autobusie, który gnał na kolejny koncert.

Większość spała w swoich fotelach. Sebastian kilka razy skręcał w drogi, które nie budziły zaufania, ale – jak twierdził – oszczędzały czas. W końcu jednak wyraźnie zwolnił. Podeszłam, żeby sprawdzić, co się stało.

– Misiaczki przed nami – wyjaśnił, wpatrując się w rozświetloną reflektorami jezdnię.

– Daleko? – zapytałam.

– Koledzy, gdzie dokładnie te misiaczki? – spytał nadajnik CB radia.

– Kolego, rozstawiają się na parkingu na sześćdziesiątym dziewiątym kilometrze. Szerokości życzę – zachrypiało radio.

– Jeszcze dwa kilosy – wyjaśnił Sebastian. – Cwaniaczki. Dwa lata temu był tu remont drogi i drogowcy nie sprzątnęli ograniczeń do trzydziestu na godzinę. – Wskazał znaki, które mijaliśmy. – Misiaczki codziennie się tu czają. Pani Lucjo, a może

malutki postój? Tam na tym parkingu jest kibel, to znaczy toaleta.

Poczułam, że chętnie rozprostowałabym kości. Autobus skręcił. Na leśnym parkingu stało już kilka tirów i samochodów osobowych.

– Jest nawet wyżerka – ucieszył się Sebastian, wskazując na migający neon Grilla u Grubego Rycha. – Tylko tych misiaczków nie widać.

Wjechał na wolne miejsce i zgasił silnik. Śpiący, albo udający, że śpią, uczestnicy wyprawy otworzyli oczy, jak gromada zombie, kiedy ktoś z żywych wyda nieostrożny dźwięk.

– Postój, piętnaście minut – obwieściłam.

Wysiadłam z autobusu. W świetle latarni parking wyglądał jak jakieś widmo. Gdzieś od lewej dobiegł mnie dźwięk dwóch głosów. Najwyraźniej się sprzeczały. Wyszłam za żywopłot i w marnym świetle sodówki zobaczyłam zaparkowanego opla, a przy nim dwóch mężczyzn.

Ten niższy co chwila podchodził do pieńka drzewa i kopał go ze złością. Ten wyższy stał zgarbiony, najwyraźniej czuł się winny.

– Jakim cudem nie zabrałeś koła zapasowego? – irytował się niższy.

– Melduję posłusznie, że zabrakło na stanie – odpowiedział wyższy.

– Jakim cudem zabrakło na stanie?

– Melduję posłusznie, że komenda wyczerpała fundusze na regenerację środków trwałych na obecny kwartał.

– A lewarek?

– Uległ amortyzacji całkowitej.

– Co takiego?

– Pękł nieodwracalnie. Melduję, że wystąpiłem o nowy lewarek, który zostanie przyznany na początku przyszłego kwartału.

I nie musiał nawet paść cytaty z inspektora Wąskiego, żebym się domyśliła, że wyższym mężczyzną jest Władek, podkomendny

mojego znajomego, aspiranta Koniecznego.

Niższym był oczywiście sam Konieczny.

*

– Pani Lucja? – Konieczny zastygł w bezruchu, jakby zobaczył ducha. – Skąd pani się tu wzięła?

– Przechodziłam obok – wyjaśniłam zwięźle. – A skąd pan się tu wziął?

– Z akcji „Bezpieczny spoczynek” – wyjaśnił gorzko. – Zmobilizowaliśmy, jako polska policja, wszystkie siły, żeby zapewnić społeczeństwu spoczynek na wakacjach. To znaczy odpoczynek, ale sekretarka szefa zrobiła literówkę i zanim ktoś się zorientował, rozporządzenie poszło w Polskę. A my mamy zapewnić nie tylko odpoczynek, ale też bezpieczny dojazd społeczeństwa tam i z powrotem.

– Społeczeństwo tego nie docenia – mruknął ponuro Władek.

– Ty lepiej nic nie mów – ostrzegł go Konieczny. – Proszę sobie wyobrazić, że złapaliśmy gumę, a Władek nie wziął ani zapasowej opony, ani lewarka.

– Po co lewarek, skoro nie mamy opony?

– Mówiłem, żebyś się nie odzywał – syknął Konieczny. – Komenda ściągnęła na drogi wszystkie rezerwy, bo dziś sobota, to jedni jadą, a inni wracają. Mieliśmy patrolować tę drogę i wyłapywać patologie ruchu drogowego.

– Wyłapaliśmy dwadzieścia dziewięć patologii – rozchmurzył się Władek. – Ale potem złapaliśmy gumę. – Zasmucił się ponownie.

– Wezwijcie posiłki – poradziłam.

Władkowi głośno zaburczało w brzuchu. Konieczny spojrzał na niego groźnie. Władek trzasnął obcasami.

– Melduję, że wszystkie inne załogi też wyłapują patologie – zameldował. – Moglibyśmy wezwać przez radio inspektora

Wąskiego...

– Nawet o tym nie wspominaj. – Konieczny spurpurowiał tak bardzo, że zauważyłam to w pomarańczowym świetle latarni. – Wyobraża sobie pani, pani Lucjo – zwrócił się do mnie – że wzywam inspektora Wąskiego w nocy i mówię, że nie mam lewarka? Przecież on by nas zamknął.

– No i tak sobie stoimy – westchnął Władek.

– Idź jeszcze popytaj, może ktoś ma lewarek – rozkazał Konieczny. – To przecież niemożliwa koincydencja, że zatrzymaliśmy się akurat na parkingu, gdzie nikt nie ma tak potrzebnej rzeczy.

– Wszystkich pytałem i nikt nie ma. Zapomnieli z domu – jęknął Władek.

– Co za koincydencja! – Konieczny znowu kopnął w pień.

– Czy przypadkiem koincydencja nie sprawiła, że na parkingu znajdują się same wyłapane przez was patologie drogowe? – zapytałam odkrywcz.

– Melduję, że tak jest. – Władek się uśmiechnął. – O, na przykład tamci w dzipie. Jechali ze sto dwanaście, podczas gdy znak ograniczenia prędkości dopuszcza w tym miejscu tylko dziewięćdziesiąt. A znowu ten busik to został przyłapany na przekroczeniu dopuszczalnej prędkości prawie o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ograniczenie pozwala na jazdę z prędkością trzydzieści, a on gnał siedemdziesiąt osiem.

– Siedemdziesiąt osiem to i tak niezłe osiągnięcie jak na ten busik. – Zlustrowałam pojazd, który wyglądał, jakby się trzymał na sznurek. – Ale tam jest las. Można jechać.

– Niemniej stoi znak nakazujący poruszanie się z maksymalną prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę – pouczył mnie Władek. – Naruszenie zakazu może skutkować mandatem w wysokości czterystu złotych i ośmioma punktami karnymi.

– A potem zapytał pan kierowcę, czy ma lewarek?

– Melduję – Władek zdał mi raport, chociaż nie byłam jego przełożoną – że dokonałem zapytania, a zapytany zeznał, że nie posiada lewarka, albowiem zostawił go w miejscu zamieszkania. Mam tu nawet zapisany jego adres. – Zaczął wertować mandaty.

– Nie będzie nam potrzebny – powstrzymał go Konieczny.

– A pozostali wypytywani o lewarek też zostali wcześniej ukarani mandatami? – dopytywałam.

– Nie wszyscy. Tylko trzech kierujących pojazdami mechanicznymi. Pierwszy: Karolak Zygmunt, poruszający się pojazdem fiat punto, rocznik dwa tysiące jeden, przekroczył dopuszczalną prędkość o trzydzieści sześć kilometrów. Ukarany mandatem na sumę trzystu złotych. Zeznał, że lewarek ma w dupie. Poproszony o wytłumaczenie dodał, że w czarnej dupie, po czym oddalił się, cytując, walić konia, nie podając dalszych wyjaśnień. Drugi: Jadźwierski Stanisław...

– Wystarczy – zdecydował Konieczny. – Wydaje mi się, pani Lucjo, że w grę może wchodzić spisek. Oni wszyscy mogli się porozumieć w kwestii lewarków.

– To możliwe – przyznałam.

– A może pani ma rzeczony narzędzie? – Konieczny się rozpromienił.

– Sprawdźmy w autobusie.

Ruszyłam z aspirantem i Władkiem w stronę naszego pojazdu. Sebastian, który wycierał reflektory, uśmiechnął się na mój widok.

– Kolega mówił, że te misiaczki gdzieś tu stoją i nie mogą zmienić opony – zachichotał. – Wszyscy mają z nich polewkę.

– Czy w autobusie jest lewarek?

– Pewnie, że tak, czekam tylko, aż przyjdą i poproszą. – Zachichotał ponownie.

– Ci panowie właśnie go szukają. – Wskazałam Koniecznego i Władka.

Sebastianowi opadła szczeka aż do samej ziemi.

– Spakowałem go razem z resztą rzeczy do tira – mruknął.
– Jest w schowku – sprostowałam. – To znajomi.
– Pani znajomi? – Sebastian wytrzeszczył oczy. – I tak nie ma mowy. Jak dam lewarek, to za chwilę wszyscy nadadzą przez radio, że pomogłem misiaczkom. Nie będę miał życia na drodze.
– Proszę iść z pozostałymi zjeść coś u Grubego Rycha. – Wskazałam głową knajpę z neonem, w której siedziała już cała ekipa Wieśki. – Będzie pan miał alibi.
– A będę mógł powiedzieć przez CB radio, że to pani dała? – upewnił się.
– Proszę uprzejmie.
– Ale będę musiał rzucić przy okazji wiąchę – uprzedził.
– Dobrze – zgodziłam się.
– Coś w stylu, że idiotka pomogła misiaczkom. Bo nie wiedziała, że to misiaczki. Tego wymagają zasady współżycia na drodze – tłumaczył się.
– Niech będzie.
– Całkiem prawdopodobnie poleci nawet „głupia suka”...
– Zostańmy przy tym pierwszym – ostrzegłam go.
– Dobrze już, dobrze – westchnął i ruszył w stronę Grubego Rycha.
Otwarłam schowek i podałam lewarek Władowi. Odnalazłam swoje bagaże i wyciągnęłam coś jeszcze.
– Wystarczy wpompować do opony, uszczelni dętkę. Da radę jechać. – Podałam Koniecznemu pojemnik ciśnieniowy.
– Jest pani cudowna – rozpromienił się aspirant.
– Oczywiście – potwierdziłam.
– Jestem pani dłużnikiem.
– Przypomnę się w odpowiednim czasie.
– O Matko Przenajświętsza! – Władek rozdziawił usta. – To Wieśka Orzeł.

Zapatrzył się w niemym zdumieniu na autobus. Na boku widniała olbrzymia twarz piosenkarki i hasło „Leć jak Orzeł”.

- Moja nowa chlebodawczyni – wyjaśniłam.
 - Zawsze marzyłem, żeby zobaczyć ją na żywo – wyszeptał Władek. – A żona to normalnie by zabiła za autograf. Byliśmy raz na koncercie, ale nie dopchaliśmy się potem za kulisy.
 - Swoją drogą, pani Lucjo, czy zauważyła pani zabawny fakt? – zapytał Konieczny. – Do tej pory wpadaliśmy na siebie wyłącznie przy okazji denatów. Po raz pierwszy spotykamy się towarzysko. Udało się przełamać koincydencję. Władek, rusz się z tą oponą.
 - A czy Wieśka jest tam w środku? – szepnął podkomendny, jakby go nie słyszał.
 - Jest. Pewnie śpi – ostudziłam jego emocje.
 - Można ją zobaczyć? – zapytał.
 - Raczej nie.
 - W sumie moja żona też by chciała autograf. – Konieczny spojrzał prosząco. – A pani podobno potrafi wszystko.
- Westchnęłam ciężko. Home Disaster Manager też czasami daje się podpuścić.
- Niczego nie obiecuję – zastrzegłam.
- Weszliśmy do autobusu. Konieczny gwizdnął cicho na widok wystroju.
- Czy to kabina artystki? – zapytał Władek szeptem cichutkim jak w kościele w czasie podniesienia, wskazując na mahoniowe drzwi.
- Skinęłam głową. Lekko nacisnęłam klamkę i zajrzałam do sypialni. We wnętrzu panował półmrok. Wieśka Orzeł leżała na wielkim futerkowym łożu. Ostrożnie się zbliżyłam i omiotłam scenę wzrokiem, po czym dotknęłam nadgarstka śpiącej. Po cichu się wycofałam i zamknęłam za sobą drzwi.
- Mam dwie wiadomości – powiedziałam.
 - Dobrą i złą? – zainteresował się Konieczny.
 - Obie złe. Pierwsza jest taka, że nie będzie autografu.
 - Ale może, gdyby pani dłużej nalegała... – naciskał aspirant.

– Obawiam się, że to by nie pomogło – pokręciłam głową. –
Ponieważ druga wiadomość jest taka, że tym razem również nie
udało się uniknąć koincydencji. Wieśka Orzeł nie żyje.

Rozdział 6

Otworzyłam drzwi do sypialni piosenkarki i przepuściłam Koniecznego i Władka. Nie byłam przygotowana na to, co się wydarzyło.

Najpierw usłyszałam przerażający krzyk. Potem Władek wypadł z sypialni z obłędem w oczach, szukając czegoś przy pasku, chociaż niczego tam nie miał.

Za nim wybiegł Konieczny, nieco mniej spanikowany. Ale zatrzasnął za sobą drzwi i dla pewności się o nie oparł.

– Bazyliszek! – wysyczał Władek. – Idę po broń. Została w skrytce w samochodzie.

– Nie będziesz strzelał! Zabraniam! Nieuzasadnione użycie broni służbowej! – krzyknął Konieczny.

– Ukatrupię gada! Zabił moją idolkę! Jak żona się dowie, że nie ukatrupiłem, to ona mnie ukatrupi. Własnoręcznie! – zaperzył się Władek. – Wpiszę w raporcie, że w obronie własnej.

Uznałam to za dobry moment, żeby się wtrącić.

– To Sławomir – wyjaśniłam. – Legwan zielony.

– Sławomir? – zapytał podejrzliwie Władek.

– Nie ten piosenkarz. Po prostu Sławomir. Zwierzątko domowe pani Orzeł.

– Pani Wieśka trzymała gada dobrowolnie? Nie wdarł się podstępnie do autobusu? – upewnił się Władek.

– Jak mógł się wedrzeć? – Konieczny wzruszył ramionami, najwyraźniej odzyskując rezon. – Przecież nie otworzył sobie drzwi.

– Ale może zagryzł właścicielkę. – Władek nie ustępował.

– Iguany są roślinożerne – wyjaśniłam.

Podkomendny nie wyglądał na przekonanego.

– Na wszelki wypadek pójdę po broń służbową. Bo gdyby ta iguana stała się agresywna i trzeba było ją obezwładnić... – powiedział do Koniecznego.

– Wystarczy przełożyć ją do terrarium – wyjaśniłam.

– Ona jest olbrzymia, ten Sławomir znaczy. – Władek się wzdrygnął.

– Nie mówię, że pan ma to zrobić. Ja ją włożę. – Wzruszyłam ramionami i podeszłam do drzwi sypialni.

Władek cofnął się o krok i zbladł.

– Gady są nieobliczalne. Widziałem film na Discovery. Zjadły jednego gościa w Amazonii.

– Legwany zielone? – zdumiałam się.

– Chyba anakondy, ale gad to gad – stwierdził filozoficznie Władek. – Powinno się ich zakazać. A gdyby jakieś dziecko tam weszło, a ten legwan rzucił się na nie i pożarł w całości, to co bym powiedział biednej matce szukającej swojej pociechy? Kto by odpowiadał za niespodziewane zniknięcie małego? Policja! Że nie zabezpieczyła terenu.

– O ile wiem, nie ma tu żadnego dziecka – stwierdziłam. – Zresztą już dość późna pora jak na dzieci.

– Nigdy nic nie wiadomo – pouczył mnie Władek. – To mogę tę broń służbową?

Westchnęłam, odsunęłam Koniecznego i weszłam do sypialni. Sławomir leżał rozciągnięty we wdzięcznej pozie na łóżku, z głową opartą o udo Wieśki Orzeł. Zerknął na mnie z zaciekawieniem i wystawił język. Wzięłam go pod pachę i wyszłam. Władek na wszelki wypadek wycofał się aż pod drzwi autobusu i podejrzliwie zmierzył Sławomira spojrzeniem.

– Czytałem, że niektóre mają jadowite kolce. Jak takim ostrzem dziabną, to nie ma zmiłuj.

– Ale nie legwany – uspokoiłam go. – To bardzo sympatyczne zwierzęta.

– To czemu ten wygląda, jakby kogoś zeżarł? – mruknął Władek.

– Odszyfrowywanie wyrazu pyska legwanów zielonych nie należy do obowiązków Home Disaster Manager – zastrzegłam.

Cofnęłam się do buduaru Wieśki i włożyłam Sławomira do terrarium. Przycupnął na gałęzi i zaczął filozoficznie skubać sałatę.

– Dokonajmy wizji lokalnej – mruknął Konieczny za moimi plecami. – Może pani Orzeł jednak jeszcze żyje.

– Z pewnością nie. – Pokręciłam głową. – Potrafię rozpoznać zwłoki.

– Dostrzegam kubek. Leży na podłodze przy łóżku, jakby wysunął się z ręki zmarłej – relacjonował Konieczny do małego urzędnika, które trzymał w ręku. Widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśnił: – Nagrywam spostrzeżenia na gorąco. Komenda wydała nam w powyższym celu urzędnika rejestrującego.

– Dyktafony na kasety? – Uniosłam brwi.

– Tak – potwierdził Konieczny. – Oraz po dziesięć czystych kaset na głowę.

– Gratuluję.

– Zamówienie zostało wystosowane w dwa tysiące ósmym roku, niemniej procedury przetargowe i odwołania przegranych spowodowały, że sprzęt dotarł z opóźnieniem – westchnął aspirant.

– Dzięki temu jest już modny i vintage’owy – pocieszyłam go.

– Plama na podłodze sugeruje, że Wiesława Orzeł wypięła znajdujący się w kubku płyn, po czym zasłabła lub zmarła i naczynie wypadło jej z ręki, wylewając swoją zawartość – kontynuował Konieczny.

– Mój świętej pamięci dziadek też pił, aż mu kubek wypadł, i poszedł do Bozi. – Władek pokiwał głową.

– W tym przypadku mamy do czynienia z płynem brązowego koloru.

Aspirant opadł na kolana i ostrożnie zbliżył nos do kubka, który leżał na podłodze oparty o kapeć. Trochę płynu nadal było w środku.

– Herbatka – dopowiedziałam.

– Właśnie chciałem zaznaczyć, że wspomniany kubek zawiera herbatę. – Konieczny spojrzał na mnie z wyrzutem. – Proszę nie przerywać opisu miejsca zdarzenia, pani Lucjo.

Podniosłam obie ręce na znak, że już nic nie powiem.

– W pomieszczeniu nie odkryłem śladów walki ani obecności osób trzecich. Na ciele denatki po pobieżnych oględzinach nie widać ran. Konkludując, nie sposób odkryć, dlaczego nastąpił zgon. Być może mamy więc do czynienia ze śmiercią z przyczyn naturalnych.

Zamachałam gwałtownie rękami i pokręciłam głową.

Konieczny ciężko westchnął i wcisnął guzik, żeby zatrzymać nagrywanie.

– Pani Lucjo, ja tutaj pracuję. A pani mi macha przed nosem.

Wskazałam palcem kosz na śmieci przy kuchence. Leżało w nim puste opakowanie po środkach nasennych.

Konieczny podszedł i zerknął. Skinął na Władka, który zbliżył się z torbą na dowody i przełożył do niej opakowanie.

– Dokładna lustracja miejsca zgonu pozwoliła jednak na odkrycie opakowania po środkach nasennych, które zażyte w znacznej ilości mogły być przyczyną śmierci Wiesławy Orzeł. Rzeczne opakowanie jest puste. Można poczynić założenie, że wspomniane środki nasenne znajdowały się w płynie, który spożyła denatka. Czas i dalsze dochodzenie pozwolą odkryć, czy zmarła sama przygotowała sobie herbatkę.

Ponownie zamachałam rękoma przed jego twarzą.

– Pani Lucjo, ja naprawdę nie mogę pracować, kiedy mi pani wciąż tak macha – powiedział Konieczny z wyrzutem. – Niech już lepiej pani powie, co ma powiedzieć.

– Pani Orzeł nigdy nie robiła herbatki sama – wyjaśniłam. – Zawsze komuś podbierała. W ostateczności kazała sobie przygotować.

Konieczny ponownie włączył nagrywanie.

– Dokładne badania operacyjne pozwoliły ustalić, że zmarła posiłkowała się pomocą osób trzecich przy przygotowywaniu napojów gorących lub wchodziła w ich posiadanie, zabierając je osobom trzecim i wypijając bez pytania. Ekipa techniczna dokonała badania resztek płynu, zachowanych, niestety, w nieznaczej ilości.

Znowu zamachałam rękoma przed jego twarzą.

– Tak naprawdę nie da się pracować – zirytował się Konieczny. – Przecież powiedziałem, że może pani mówić.

– Jest jeszcze reszta herbatki w termosie. – Wskazałam pojemnik przy nodze łóżka. – Pani Orzeł lubiła mieć zapas.

Aspirant uniósł palec, nakazując mnie i Władowi ciszę, po czym powiedział do dyktafonu:

– W toku oględzin dokonano ujawnienia stojącego przy łóżku pojemnika termoizolacyjnego zawierającego herbatę. Można założyć, że zmarła uzupełniała poziom napoju, dolewając go sobie z termosu.

Wyłączył dyktafon i jeszcze raz ogarnął wzrokiem całą scenę.

– Zadzwoń po ekipę? – zapytał Władek.

Konieczny już miał skinąć głową, ale zmienił zdanie.

– Zdążymy to zrobić. Pomyśl jednak, co powiedziałby inspektor Wąski, gdyby doszła do niego wiadomość, że na ustronnym parkingu gdzieś w Polsce znaleziono ciało znanej piosenkarki, ale ta sprawa nie musi spędzać mu snu z powiek, bo obecni na miejscu dwaj funkcjonariusze, tymczasowo oddelegowani do policji drogowej, samodzielnie i – co ważne! – błyskawicznie rozwiązali zagadkę i dokonali zatrzymania podejrzanego lub podejrzaney?

Na twarzy Władka odmalował się wysiłek umysłowy.

– Byłby zadowolony? – zaproponował.

– Szczęśliwy. Konferencja prasowa, flesze, dziennikarze. Inspektor Wąski wkracza i oznajmia, że co prawda popełniono okrutną zbrodnię, ale ramię sprawiedliwości dosięgło winnego. Co wówczas zrobiłby inspektor Wąski?

– Napiłby się koniaku? – zasugerował Władek. – I pojechał pograć w golfa?

– Z pewnością. – Konieczny skinął głową. – Ale co zrobiłby z dwójką funkcjonariuszy, którzy pomogliby mu osiągnąć ten sukces?

– Też poczęstowałby ich koniakiem?

Konieczny pokręcił głową.

– Nakazałby niewątpliwie zmienić natychmiast ten degradujący ich przydział i wycofać z policji drogowej, kierując do dawnych zadań dochodzeniowych.

– Ale przecież mówił pan, że kontrola prędkości to ważny element pracy policyjnej i chroni życie ludzkie, a także mienie – wyrecytował Władek.

– Z całą pewnością, jednak to może robić wielu innych, oddanych sprawie funkcjonariuszy, podczas gdy my moglibyśmy poświęcić się poszukiwaniu naprawdę groźnych morderców – wyjaśnił Konieczny.

– Tak jest! – Władek wyprężył się jak struna.

– Krótko mówiąc, zanim zadzwonimy po ekipę, rozejrzymy się dookoła i znajdziemy winnego – oznajmił aspirant.

– Tak jest! – powtórzył Władek. Ale po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zwątpienia. – A jeśli to jednak wina tego stwora?

– Jakim cudem? – zniecierpliwiał się Konieczny. – Sugerujesz, że ten legwan otworzył opakowanie proszków nasennych i wsypał je do herbatki?

– Może przechodząc, stracił opakowanie, które wpadło do herbatki, a denatka nie zauważyła i wypić – zastanawiał się Władek. – Mojej babci tak się zdarzyło.

– Legwan dosypał jej coś do herbatki? – Konieczny wybałuszył oczy.

– Babcia nigdy w życiu nie zamieszkałaby z takim stworem – zakomunikował Władek. – Ale kiedyś stała przed chałupą, a jak dziadek przechodził, to strącił grabie i spadły jej na głowę. Szwy musieli jej zakładać w szpitalu. Powinniśmy wykluczyć tutaj podobną możliwość.

– Wykluczam – uciął Konieczny. – Pani Lucjo, chodźmy do tego grill baru i tam pokaże mi pani dyskretnie podejrzanych. Następnie sprowadzę ich na miejsce zbrodni, używając forteli, i sprawię, że winny sam się przyzna.

– Jak pan tego dokona? – chciałam wiedzieć.

– Przekona się pani. – Konieczny uśmiechnął się z zadowoleniem. – Inspektor Wąski zwykł mawiać, że niezwykle okoliczności wymagają niezwykłych ludzi i niezwykłych koncepcji. Z pewnością się pani zgodzi.

– Absolutnie – potwierdziłam.

– Sprowadzę tutaj podejrzanych, odwrócę ich uwagę zajmującą rozmową na interesujące ich tematy i w tym czasie każdego poczęstuję herbatką z termosu. A co robi morderca poczęstowany herbatką?

– Wypije? – zasugerował Władek.

– No skąd! – zniecierpliwiał się Konieczny. – Gdyby ktoś zaproponował ci napój ze źródła, o którym wiesz, że może być niebezpieczne, to byś wypił?

– Melduję, że nie, bo jako policjant jestem w stanie odkryć zagrożenie – zaraportował Władek. – Ale mój kolega Waclaw przebywał kiedyś na libacji, czego, melduję, nie pochwalam. I kiedy jego kolega Wojtek spożył skażony alkohol i padł w stanie agonalnym, a wcześniej jeszcze poczęstował Waclawa, to kolega Waclaw dopił alkohol i również padł w stanie agonalnym.

– Morderca pani Orzeł jest jednak inteligentny. Kiedy się dowie, że herbatka pochodzi z termosu, do którego wsypał środek

nasenny, odmówi wypicia. I wtedy go dorwiemy!

– Tak jest! – Władek stuknął obcasami.

Rozdział 7

Zapewne nigdy w życiu nie byliście nocą w Grubym Rychu. Nie czyńcie sobie wyrzutów. Ja również nigdy wcześniej tu nie byłam. Niemniej większość osób w knajpie wyglądała na stałych bywalców, a byli i tacy, którzy zdawali się mieszkać tu na stałe.

Gruby Rycho – jeśli to on zbudował karczmę, a doświadczenie kazało mi podejrzewać, że owszem – zdecydował się postawić na sprawdzoną i trwałą konstrukcję góralską. I cóż z tego, że oddaloną od gór o wiele godzin jazdy. W środku królowały długie stoły i ławy, które miały tworzyć przytulną atmosferę, a na ścianach umieszczono reprodukcje dzieł obrazów renesansowych mistrzów, zapewne w celach edukacyjnych. Wenus Botticellego Gruby Rycho śmiało jednak zestawiał z anonimowym dziełem przedstawiającym drapieżną półnągą brunetkę, z jakiegoś tylko jej znanego powodu dosiadającą kosiarkę do trawy i zaborczym gestem przyciskającą maszynę do obfitej piersi. Napis „Wypróbuj Siano Tex” nie pozostawiał wątpliwości, że brunetka już to zrobiła, a sądząc po wyrazie jej twarzy, skończyło się to orgazmem.

Ekipa Wieśki Orzeł rozsiadła się przy największym stole, tuż pod telewizorem nastawionym na jeden z tych kanałów, o których istnieniu nie mieliście pojęcia. Na ekranie prezenterka w koronkowym body odbierała telefony od widzów usiłujących z rozrzuczonych na wielkiej tablicy liter ułożyć jakiś wyraz.

– W, R, R, E, O – sylabizowała, prężąc ciało. – Antoni, jaki wyraz można by ułożyć z tych liter?

– Nie wiem, może jakaś podpowiedź? – dało się słyszeć z offu Antoniego. Sądząc po głosie, musiał mieć za sobą ciężki dzień.

– Rower, powiedz „rower”. – Sebastian kibicował Antoniemu, który niestety nie mógł go usłyszeć.

– To prosta zagadka; jeśli ją rozwiążesz, możesz wygrać sto złotych – kusiała prezenterka. – Ale dobrze, podpowiem ci: możesz na nim jeździć.

– Motor – ucieszył się Antoni.

– Jezu, kretyn – zirytował się Sebastian. – Ja wiem. Rower.

– Niestety, to nie motor, Antoni – westchnęła prezenterka. – Nie masz M, T i drugiego O.

– Dzwonię – zdecydował Sebastian i wyciągnął telefon. Przytrzymał go przy uchu przez dłuższą chwilę. – Nie odbierają.

– Czekam na państwa telefonu. – Prezenterka poruszyła się i przez krótką chwilę zaistniała obawa, że body z niej opadnie. Ale jednak się utrzymało. Był to jeden z tych niewyjaśnionych cudów codzienności. – Jeśli chcecie wygrać, dzwońcie! Czekam. Kto ułoży słowo z podanych liter?

– Rower, rower – mruzczał niecierpliwie Sebastian do słuchawki. – Czemu nie odbierają?

– Siedem osiemdziesiąt dziewięć za minutę. Mam wrażenie, że opłaca im się nie odbierać – zasugerowałam. – Długo jest już pan na linii?

– Z pięć minut. Wyprzedził mnie Antoni, a przecież to kretyn. Jaki motor? Tam nie ma M, T i drugiego O.

– Nie ma – zgodziłam się. – Prawdopodobnie czekają, aż nabije pan dziesięć minut.

– Ojej – zmartwił się Sebastian. – A tak chciałem pomóc Sandrze. – Wskazał brodą dziewczynę w body, której mina sugerowała, że natychmiast potrzebuje ratunku. W przeciwnym razie jej body nieodwołalnie opadnie.

– Przeżyje – pocieszyłam go i powtórzyłam to, o co poprosił mnie Konieczny: – Wpadnie pan na chwilę do autobusu? Zaświeciła się czerwona kontrolka na konsoli.

– Nie może być! – Sebastian zerwał się na równe nogi. – Pewnie płynę do diesla muszę dołąć.

Konieczny z Władkiem czekali na niego we wnętrzu pojazdu. Mina Sebastiana, kiedy ich ujrzał, była daleka od zachwytu, ale aspirant uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił.

– Przemysleliśmy pana uwagę o czających się policjantach – powiedział, kiwając głową. – Otóż rzeczywiście nie jest to najlepszy sposób na dyscyplinowanie kierowców. I dlatego chcielibyśmy skonsultować z panem naszą nową koncepcję.

– Naprawdę? – odezwał się Sebastian nieufnie.

– Tak. W sumie to głupie czaić się tak za krzakami i wyskakiwać z tym lizakiem. Władek może zaświadczyć, że to powiedziałem.

– Melduję, że zaświadczam – potwierdził Władek. – Przemysleliśmy taktykę.

– Właśnie tak. Czuję, że doznałem pewnej... Jak to sformułowałem, pani Lucjo?

– Przemiany duchowej – podsunęłam.

– Właśnie tak. Duchowej – ucieszył się Konieczny. – Zamiast wyskakiwać z za krzaka, należy ustawić się w miejscu bez krzaka, żeby być widocznym dla kierowców.

– To oni nas wtedy zobaczą i zwolnią – zmartwił się Władek.

– Oczywiście, dzięki temu nie spowodują zagrożenia w ruchu drogowym – podkreślił Konieczny. – Może herbatki, panie Sebastianie? Stała tu, w termosie.

– A chętnie, chętnie – poprosił kierowca, przyjmując kubek i upijając duży łyk.

– Widzę, że jest pan bardzo zaangażowanym uczestnikiem ruchu drogowego i leżą panu na sercu związane z nim problemy – dodał Konieczny.

– Bardzo. Ale stanie za krzakiem jest niesportowe. Zwłaszcza że te znaki ograniczenia prędkości są ustawione w lesie. No jak tak można!

– Należy się do nich stosować niezależnie od ich usytuowania... – zaczął Władek, lecz Konieczny go uciszył.

– Kolega za bardzo rygorystycznie podchodzi do przepisów, a przecież liczy się duch prawa, nie jego litera. Jeszcze herbatki? Dobrze, że stała w termosie. Nie wystygła?

– Nie, skąd, gorąca. – Sebastian pociągnął jeszcze łyk. – A to może anuluje mi pan mandat, co go dostałem, jak pana koledzy wyskoczyli tydzień temu z za krzaka?

– Możemy o tym porozmawiać – zgodził się Konieczny. – Proszę śmiało pić.

– Trzysta złotych, a ja nie zasłużyłem – poskarżył się Sebastian. – Droga prosta, tylko trzy pustostany, a tamci wyskakują.

– Bardzo smutne – westchnął aspirant. – Wypił pan?

– Tak, można dolewkę?

– Nie można. Władek zaprowadzi pana teraz tymczasowo do naszego wozu.

– Ale dlaczego? – zdumiał się Sebastian.

– Rutynowe czynności – powiedział Władek wymijająco.

– A co z tym mandatem?

– Niestety, obawiam się, że nic się nie da zrobić. – Konieczny sprowadził go na ziemię.

– Ale mówił pan...

– Idziemy – mruknął Władek, wypychając Sebastiana z autobusu.

– Znakomicie, pani Lucjo. – Konieczny zatarł ręce. – Jeden podejrzany mniej. Widziała pani, jak się przyssał? Cały termos by opróżnił, gdybym pozwolił. W taki właśnie sposób wyeliminujemy podejrzanych. Z wyjątkiem jednej osoby: mordercy!

*

Magda Sroka spacerowała po autobusie w tę i we w tę, nieustannie przemawiając. Ściągnęłam ją pod pretekstem pomocy

policjantom, którzy zamierzają dbać o dobry PR i niby potrzebują porady. I teraz się to mściło.

– Działania piarowskie muszą iść w parze nie tylko z logiczną i systemową pracą działu HR, ale też z działaniami innych pionów logistycznych organizacji – perorowała Sroka. – Ważna jest odpowiedź na pytanie, czy pion HR w panów organizacji współpracuje ściśle z pozostałymi.

– Ściśle – potwierdził Konieczny. – Herbatki?

– Już mówiłam, że dziękuję. – Magda Sroka pokręciła głową. – A czy dział HR prowadzi działania uświadamiające wśród policjantów?

– Szefowa personalnego powiedziała kiedyś, że nogi nam z dupy powyrywa, jak będzie tyle L4 – przypomniał sobie Władek. – Więc można powiedzieć, że tak.

– Pyszna ta herbata – kusił Konieczny.

– Nie, dziękuję. – Magda Sroka była konsekwentna. – Bardzo nieprofesjonalne działanie policyjnego HR.

– Szefowa personalnego często nam grozi – zasmucił się Władek. – Kiedyś powiedziała, że nogi mi z dupy powyrywa, jak jeszcze raz wspomnę, że chcę urlop w wakacje. A muszę zaznaczyć, że żona wcześniej nadmieniła, że zrobi ze mną to samo, jak nie załatwię tego wolnego. Więc miałem poważny dylemat moralny.

– Tak się zastanawiam, czy ta herbata przypadkiem nie jest z alkoholem – zadumał się Konieczny. – Stała tu sobie w termosie i chyba ktoś dolał procentów. Sprawdzi pani? Bo obawiam się, że mogłoby to zaszkodzić opinii o ekipie pani Orzeł, gdyby jej członkowie tak otwarcie popijali w pracy.

Wyciągnął kubek do Magdy Sroki, która pociągnęła łyk.

– Co pan opowiada, tu nie ma żadnego alkoholu. – Skrzywiła się. – Szkaluje pan tylko niepotrzebnie nasz zespół.

– Naprawdę? – ucieszył się Konieczny. – Na pewno?

– Nie ma – potwierdziła Magda Sroka.

– Bo stała tu, w termosie – powtórzył z naciskiem Konieczny.
– Na sto procent nie ma. Wracając do sprawy współpracy działu HR z innymi pionami: postawiłabym przede wszystkim na jej zacieśnienie w ramach organizacji.

– To już wszystko – przerwał jej wywód Konieczny. – Władek, odprowadź panią do naszego samochodu.

– Ale jeszcze nie skończyliśmy – zdumiała się Magda Sroka.

– Na razie tak – uciszył ją aspirant. – Resztę opowie pani panu Sebastianowi.

Nim zamknęły się za nimi drzwi autobusu, usłyszałam, jak Magda Sroka tłumaczy Władcowi zasady współpracy korporacyjnej.

Konieczny skreślił w notesie jej nazwisko.

– Szybko to idzie – ucieszył się. – Dziesięć minut i już mamy dwie osoby wykluczone z kręgu podejrzanych. Wykluczanie może wydać się czynnością żmudną, ale jest podstawą pracy operacyjnej, pani Lucjo.

– Pamiętam.

– Oczywiście – zgodził się. – Być może pamięta też pani, jak wykluczyłem osoby z kręgu winnych w czasie śledztwa, które prowadziłem w sprawie tego milionera zakłutego szpilą.

– Jak najbardziej – potwierdziłam.

– Pamięta pani, jak błyskawicznie kurczył się krąg podejrzanych?

– Jak mogłabym zapomnieć.

– Za chwilę również tutaj wszyscy aktorzy zejść ze sceny i pozostanie na niej tylko morderca. – Konieczny się uśmiechnął. – Proszę wybaczyć nieco melodramatyczne porównanie, ale my, policjanci, również mamy artystyczne dusze.

– Doskonale to rozumiem. Każdy potrzebuje w życiu odrobiny dramatu.

– Proszę więc wprowadzić następną osobę z tej sztuki – zarządził aspirant.

*

Janusz Czapla nie wyglądał na przekonanego do pomysłu, który wyłożył mu Konieczny.

– Jeśli naprawdę chce pan podszkolić głos, proszę ćwiczyć, a dopiero potem zapisać się do chóru. I ewentualnie jeszcze może pan brać lekcje indywidualne – tłumaczył policjantowi.

– Tak, ale kiedy spotkałem tak wybitnego kompozytora i trenera głosu jak pan, poczułem, że muszę uzyskać kilka wskazówek – wyjaśnił Konieczny. – Herbatki?

– Może potem. Choć muszę dodać, że nie robię tego zawodowo. Owszem, mam wiedzę, ale zwykle po prostu piszę muzykę.

– Chodzi mi jedynie o kilka wskazówek – zapewnił go aspirant. – Proszę jednak skosztować. Znakomita ta herbatka. Była w termosie.

– Skoro pan nalega. – Czapla się skrzywił. – Niech więc pan coś zaśpiewa.

– Ale co? – zapytał Konieczny.

– Cokolwiek. Jaki jest pana ulubiony kompozytor?

– Noooo... – Mina Koniecznego wydłużyła się. – Zapomniałem nazwiska. Taki na E...

– Elfman? Eranidze? Eronson? Elenbaum? Elder? – zaproponował Czapla.

– E, nie. Żaden z powyższych – wyznał policjant. – Proszę pić. Jeszcze gorąca, stała w termosie.

– Rzeczywiście bardzo ciepła – przyznał Czapla. – Tak się składa, że mam nagrany przez siebie webinar poświęcony sprawom, o których rozmawiamy. A pan też śpiewa? – zapytał Władka.

– Cóż, trochę przy goleniu, mogę zademonstrować...

– Zademonstruj, a pan niech dopije – popędził kompozytora Konieczny.

– „W steeepie szerokiim, któóórego okieem nawet sokooolim nie zmieeeeerzysz...” – huknął Władek. Trzeba przyznać, że miał głos.

– Pan po szkole muzycznej? – zapytał poruszony Czapla. – Taka wokaliza to skarb.

– Nie, po technikum mechanicznym – wyjaśnił Władek. – Ale w pierwszej klasie były zajęcia z fletu prostego.

– Niech pan zaśpiewa coś jeszcze.

– Tak, tak, zaśpiewaj, a pan niech pije – zatroszczył się Konieczny.

– „Oczi cziornyje...” – zaintonował Władek i szyby w autobusie ponownie się zatrzęsły.

Janusz Czapla z wrażenia dopił herbatę jednym haustem i zaczął bić brawo.

– Wspaniale, wspaniale! – zawołał entuzjastycznie.

– Wspaniale! – Konieczny także się ucieszył i zamaszystym gestem skreślił w notesie kolejne nazwisko. – Władek, odprowadź pana.

– Czy ma pan już agenta? – spytał Janusz Czapla, kiedy wychodzili.

– Nie, ale kilku zamknąłem – oznajmił Władek.

*

– A więc chce pan napisać biografię swojego szefa? – dopytywał się Marek Szczygieł.

– Właśnie tak – zapewnił go Konieczny. – Herbatki?

– A nie ma wina? – rozochocił się dziennikarz.

– Nie ma. Jest herbatka – powiedział aspirant. – Z termosu. Jeszcze gorąca.

– Ten cały szef, jak mu tam... Niski?

– Wąski. – Konieczny zbladł nieco, ale zdołał się opanować. – Inspektor Wąski.

– Nie mogę zapamiętać. Z niczym mi się nie kojarzy.

– Inspektor Wąski z niczym się panu nie kojarzy? – Konieczny aż usiadł na jednym ze skórzanych foteli.

– Kompletnie z niczym. Może więc przydałaby się biografia, żeby ktoś o nim usłyszał.

– Wielu o nim słyszało – zapewnił aspirant. – Zwłaszcza groźnych i zatwardziałych przestępców, których za kratki wsadziła determinacja i mądrość inspektora Wąskiego.

– Ale ci za kratkami nie kupią biografii – zauważył Szczygieł. – Powinien pan myśleć o docelowej grupie czytelników. Książka musi mieć odbiorców, żeby żyć, jeśli rozumie pan, co chcę przekazać.

– Doskonale rozumiem. Niech pan pije.

Dziennikarz umoczył usta w herbacie i skrzywił się.

– Bardzo gorąca.

– Mogę panu podmuchać – zgłosił się Władek.

– Poradzę sobie, dziękuję. – Szczygieł zmierzył podkomendnego podejrzliwym spojrzeniem i odsunął się nieco. – Ilu czytelników kupiłoby taką książkę? Niewielu, jeśli bohater jest nieznany poza środowiskiem. Mój czas jest cenny. Trudno mi się angażować w projekt, jeśli efektem będzie kilkanaście egzemplarzy książki.

– Bardzo wielu by ją kupiło – zapewnił go Konieczny. – Herbatka już wystygła?

– Kilku? Kilkunastu? – gdybał Szczygieł. – Ilu jest gotowych wydać swoje zarobione czterdzieści złotych na książkę?

– Wszyscy podkomendni – odparł aspirant.

– Czyli ze dwadzieścia tysięcy – podsunął Władek.

– A skąd wiadomo, że by kupili? – Szczygieł machnął ręką.

– O, zapewniam, że nie mieliby wyjścia – poparł Władka Konieczny. – Może znalazłoby się więcej chętnych, nawet z pięćdziesiąt tysięcy. Niech pan pije.

– Pięćdziesiąt tysięcy kupionych egzemplarzy? To byłby bestseller! – Szczygieł wzruszył się i wychylił kubek do dna. –

Mówi pan, że to pewne i byłbym współautorem? Musimy porozmawiać. Podział zysków fifty-fifty?

– Oczywiście – mruknął Konieczny, skreślając coś w notesie. – Władek dogra szczegóły. Władek, zaprowadź pana pisarza do samochodu.

*

Brygida Wrona nie sprawiała wrażenia przekonanej, słuchając wywodów Koniecznego, który od kilku minut opowiadał jej o swojej chęci poprawy kondycji.

– Ale chce pan zacząć ćwiczyć akurat teraz? W nocy? Na parkingu?

– Tak. – Aspirant pokiwał energicznie głową. – Podobno zawsze jest dobry czas, żeby zacząć. Sama pani to mówiła w swoim filmiku na YouTube.

– No tak, ale nie miałam na myśli środka nocy na parkingu w lesie – uściśliła Brygida Wrona.

– Ćwicząc, trzeba pić – zauważył Konieczny. – A skoro o piciu mowa, mam pyszną herbatkę z termosu, który tu sobie stał. Proszę spróbować.

– Należy pić wodę – poprawiła go dietetyczka. – Herbata, proszę pana, odwadnia i zatrzymuje płyny w organizmie.

– Oczywiście – przyznał jej rację Konieczny. – Ale ta jest nadzwyczaj smaczna.

– Nie pijam herbaty. – Dietetyczka pokręciła głową. – Wracając zaś do ćwiczeń, widzę, że ma pan typową sylwetkę polskiego mężczyzny. Tworzący się brzuszek, słabo rozwinięta klatka piersiowa, warto by popracować nad umięśnieniem łydek. Pan pokaże.

– Co, łydki? Może potem. – Konieczny się cofnął. – Stanowczo odmawia pani tej herbaty?

– Nie piję jej, mówiłam już. Mógłby pan zacząć od zrobienia deski na łokciach. Proszę położyć się na ziemi.

– Chciałem tylko teoretycznie przedyskutować problem. Przy herbatce. Była w tym termosie. Ale wciąż jest gorąca.

– Napiję się wody z elektrolitami – zdecydowała Brygida Wrona. – Zawsze noszę ze sobą butelkę.

– Aha – powiedział złowróźnie Konieczny. – Więc to tak.

– Jak? – zdumiała się dietetyczka.

– Właśnie tak – stwierdził aspirant enigmatycznie. – Może wie pani coś więcej, niż nam zdradza. Może pani przypuszcza, że w tym termosie znajduje się coś więcej niż herbatka.

– Właśnie tak. – Wrona skinęła głową.

– Coraz ciekawiej – szepnął Konieczny. – Wie pani, że wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani?

– To powszechna wiedza. – Dietetyczka wzruszyła ramionami.

– Nie powiedziałbym – mruknął Konieczny.

– Że cukier szkodzi? Wszyscy to wiedzą – odparła Brygida Wrona.

– Jednym słowem, odmawia pani – wycedził Konieczny.

– Cukru? Zawsze – odparła hardo Wrona.

– Mam zastosować środki przymusu bezpośredniego? – zapytał Władek.

– Co też pan mówi? – wystraszyła się dietetyczka.

– Pij, kobieto, zanim stracę cierpliwość! – ryknął Konieczny.

Brygida Wrona złapała kubek i wychyliła duszkiem.

– Okropne, ostatnim razem spożywałam cukier w grudniu osiemnastego roku. – Skrzywiła się. – Teraz przez pana mogę ponownie wpaść w nałóg.

– Proszę bardzo, może pani wpadać – uśmiechnął się Konieczny.

– Złożę skargę! Pan oszalał! – wykrzykiwała Wrona.

– Oczywiście. Władek, spisz wszystko i zaprowadź panią do samochodu.

*

Z Pauliną Jastrzębską było trudniej. Nie żeby ona sama sprawiała jakieś trudności. Plan Koniecznego zakładał jednak, że makijażystka musi zamaskować ranę, którą zrobił sobie Władek.

– Ale ja nie mam żadnej rany – wyłuszczył problem podkomendny.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Konieczny pokiwał głową. – Przypomnij sobie jednak, co mawiał inspektor Wąski o sytuacjach, w których nie ma czegoś, co powinno być.

– Że trzeba sfabrykować dowody? – podsunął Władek.

– Skądże, inspektor Wąski nigdy by się do tego nie posunął! – Konieczny zrobił się purpurowy. – Mowa była o pewnym upiększeniu szarej rzeczywistości.

– O ranę? – zapytał podejrzliwie Władek.

– Cieszę się, że rozumiesz. Policjant niekiedy musi się poświęcić. – Konieczny się uśmiechnął i zniemacka przyłożył koledze pięścią w oko.

– Aua! To bolało, panie aspirancie! Uderzył mnie pan!

– Ależ nie – zaprzeczył policjant. – Uderzyła cię konieczność sprowadzenia tu makijażystki. Widzę, że masz bardzo zaczerwienione oko, martwię się o nie. A ona może temu zaradzić. Inaczej będziesz miał siniaka.

– Bo mnie pan walnął. – Władek zmierzył go oskarżycielskim spojrzeniem.

– Nigdy w życiu, realizuję tylko plan. A on zakładał, że pójdziesz do Pauliny i ściągniesz ją pod pozorem doprowadzenia do porządku twojego siniaka.

– Nie było nic o walnięciu – zasepił się Władek.

– A jakim cudem chciałeś mieć siniaka bez walnięcia? – wysapał Konieczny. – Pomyśl logicznie.

– W ogóle nie chciałem go mieć – jęknął Władek płacząco.

– Ale skoro już masz, to po prostu ją sprowadź – poradził mu szef.

Trzeba przyznać, że Paulina Jastrzębska wzruszyła się losem Władka. Posadziła go na krześle i przemyśla mu oko.

– Jak to się stało? – Westchnęła, oglądając ślad po uderzeniu.

– Szedłem, szedłem i... upadłem – wyznał Władek.

– Tak nagle? To może być udar – zaniepokoiła się Paulina. – Może powinniśmy wezwać pogotowie? – zapytała Koniecznego.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewnił aspirant. – Za to wszyscy powinniśmy się napić pysznej herbatki. Mam tu akurat, była w termosie. Proszę bardzo. – Wręczył dziewczynie kubek.

– Może niech pana podwładny się napije. – Paulina przekazała naczynie Władkowi.

– Może się napić, ale pani również powinna się wzmocnić przed makijażowaniem. – Konieczny nalał jej następną porcję.

– To może potem – stwierdziła Paulina, pudrując oko Władka.

– Przepyszna ta herbata, naprawdę musi pani upić choć troszkę. – Konieczny stanął nad nią i pochylił się, jak wampir nad swoją ofiarą.

– Skoro pan tak nalega. – Paulina uniosła kubek.

W tym momencie Konieczny stracił równowagę. Byłby upadł na Paulinę, gdyby nie zamachał gwałtownie rękami. Pomogło mu to pozostać na nogach, ale wytrącił dziewczynie kubek z ręki.

– Ojej! – zmartwiła się Paulina. – Zaraz to wytrę.

Pobiegła do kuchenki za sypialnią Wieśki i wróciła z rolką ręczników papierowych.

Nie miałam serca jej mówić, że Wieśce Orzeł już raczej nie będzie przeszkadzała plama na wykładzinie.

– No, gotowe. – Paulina wrzuciła do kosza mokre ręczniki i usiadła w fotelu.

– W takim razie herbatki? – szepnął kusząco Konieczny. Przechylił termos, ale nic z niego nie wypłynęło.

– Nieważne. – Machnął ręką. – Już wykazała się pani chęcią jej wypicia.

– Słucham? – Paulina nie zrozumiała.

– W każdym razie to byłoby wszystko – zdecydował Konieczny. – Władek, odprowadź panią.

– Ale ja dopiero zrobiłam mu część oka. Muszę położyć też podkład przy drugim. Inaczej pan Władek będzie dziwnie wyglądał – zaprotestowała dziewczyna.

– On zawsze dziwnie wygląda. Od urodzenia. Nikt nie zauważy różnicy.

*

– Muszę powiedzieć, że sytuacja klaruje mi się coraz bardziej – opowiadał Konieczny, spacerując między fotelami w autobusie. – Właściwie jest całkiem jasna, skoro to pan jest ostatnią osobą. – Wycelował palec w pierś Kacpra Gołębińskiego. – Co pan robi temu psu?

– Kołczuję go – wyjaśnił Gołębiński. – Widzi pan, psy są podobne do ludzi. Reagują na sygnał pozytywny i umacniają w sobie pozytywne zachowania.

– Jakie na przykład?

– Violetta – Gołębiński wskazał na pudlicę, która machała kuperkiem przy jego nodze – powinna umacniać w sobie zachowania sympatyczne w stosunku do Sławomira. Niestety, postępy nie są duże. Ona ciągle się go panicznie boi.

– Moja ciotka miała wyżła i on się panicznie bał koguta. – Władek się zamyślił.

– I jak to się skończyło? – zainteresował się Gołębiński.

– Któregoś dnia go zeżarł. Wyżeł koguta, znaczy się. – Władek wzruszył ramionami. – Widać w końcu przestał się bać.

– Pana ciotka powinna była zastosować wzmocnienie pozytywne – wyjaśnił Gołębiński. – Na przykład pies, widząc

koguta, powinien był dostawać pasztet. Wtedy nie bałby się ptaka, ale też nie zapragnąłby go pożreć. To znaczy koguta. Tylko konsumowałby pasztet.

– Ciotka to robiła. Usłyszała w telewizji albo coś. Ale pies, zdaje się, wiedział, że pasztet jest z koguta – stwierdził ponuro Władek. – Bo ciotka dopiero potem zobaczyła, że to pasztet drobiowy.

– Rzeczywiście niefart – westchnął Gołębiwski. – Ja motywuję Violettę wędzonymi kaskami i zapachem Sławomira.

– No to pomyśli, że legwan jest wędzony – wyjaśnił Władek. – Ciotka popełniła ten sam błąd.

– Hm, może więc zmienię strategię – zastanowił się Gołębiwski. – Ale panowie chcieli rozmawiać o kołczingu dla ludzi.

– Tak, ale najpierw niech pan się napije tej pysznej herbatki z termosu, który tu sobie stał – uśmiechnął się Konieczny. Przysięgłabym, że był to uśmiech ociekający słodyczą.

– Z przyjemnością. – Gołębiwski podstawił kubek, ale w tym momencie Władek trzasnął obcasami.

– Melduję, że przypominam panu aspirantowi, że dostępność herbatki się skończyła razem z rozlaniem przez pana herbatki pani Pauliny.

– Co za szkoda – zmartwił się Gołębiwski. – A taką miałem ochotę. Naprawdę nic już nie ma?

Sięgnął po termos i próbował wlać do kubka ostatnie krople. Wypłynęła tylko jedna. Gołębiwski zlizął ją ze ścianki.

– To o co dokładnie chciał pan zapytać? – zwrócił się do aspiranta.

– Właściwie to o nic. – Konieczny przekreślił coś w notesie. – Władek, wyprowadź pana do samochodu.

– Tak jest! – Podkomendny służbiście strzelił obcasami. – Tylko zgłaszam zajętość.

– Zajętość? – zdumiał się Konieczny.

– Tak jest. Samochód jest zajęty ludźmi. Aktualnie nie ma możliwości pomieszczenia większej liczby podejrzanych.

– Podejrzanych? – Gołębiowski wytrzeszczył oczy.

– W takim razie sprowadź tych z samochodu tutaj.

– Tak jest! – Władek się wyprężył. – Już wcześniej zgłaszali, że im ciasno. Na dodatek wyrażali nieprzyjemne opinie o panu, a nawet o inspektorze Wąskim.

– Należało powiedzieć, że inspektor ich zamknie za takie insynuacje. – Konieczny zmarszczył brwi.

– Powiedziałem, ale wtedy zaczęli wygłaszać jeszcze inne opinie – zameldował Władek. – Gorsze. Zapisałem, żeby powstał materiał dowodowy. Zacytuję: „palant przetrącony” to słowa obywatela Czapli. A „mały Hitlerek, wpierdolę mu” to wypowiedź obywatelki Sroki. Zaznaczyłem, że może to być wykorzystane przeciwko nim, ale powtórzyli groźbę karalną.

– Pod adresem inspektora Wąskiego? – zawahał się Konieczny.

– Tak jest. Chociaż nie. To było, melduję, pod adresem pana, panie aspirancie. Sprowadzić podejrzanych i pouczyć oraz sporządzić mandat karny?

– Sprowadzić, nie sporządzać – westchnął Konieczny.

Klapnął na najbliższy fotel i spojrzał na mnie z rozpaczą.

– Banda wariatów, pani Lucjo.

– Podejrzanych? – dociekał Gołębiowski.

– Gdzie jest Violetta? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia. – Gołębiowski się rozejrzał. – A gdzie Sławomir?

Terrarium stało puste. Po iguanie i pudlu nie było śladu.

Rozdział 8

Poszukiwania zwierząt musiały jednak poczekać. Konieczny uparł się, że odkrycie mordercy ma priorytet.

Niektórzy sądzą, że ludzi trzeba jakoś przygotować na brutalną prawdę, zanim się ją ujawni. Tym razem nie było jednak czasu. Członkowie ekipy Wieśki Orzeł, aktualnie denatki, wcisnęli się tłumnie do autobusu i rozsiedli na fotelach. Przekrzykiwali się i wygłaszali opinie o polskiej policji, które z pewnością nie spodobałyby się inspektorowi Wąskiemu.

– Proszę o ciszę, mamy tu trupa! – wypalił Władek.

Trzeba przyznać, że podziałało. Cisza rzeczywiście zapadła błyskawicznie i wszystkie oczy spoczęły na Władku. Ten zbladł, przełknął ślinę, po czym zręcznie wybrnął z sytuacji:

– Oddaję głos panu aspirantowi Koniecznemu.

Wszystkie oczy przeniosły się na wyżej wymienionego – ten chrząknął i rozpoczął przemowę.

– Proszę państwa, rzeczywiście nastąpiła tu śmierć szacownej artystki Wiesławy Orzeł...

– Moja żona nie żyje, a ja się dowiaduję jako ostatni?! – Janusz Czapla zerwał się, machając rękami. – To skandal!

– Właściwie to nie jako ostatni, ale równocześnie z innymi – uściślił Konieczny.

– Mówiłam, że te chipsy to fatalny pomysł – westchnęła Brygida Wrona. – To zabójcza dieta. No i proszę.

– O Boże! – krzyknęła Sroka. – To straszne. Muszę natychmiast sporządzić oświadczenie prasowe! Dlaczego nie powiedział mi pan wcześniej? Każda minuta się liczy. Może tak: „Dzisiaj w nocy zmarła tragicznie gwiazda polskiej estrady, Wiesława Orzeł”. A może lepiej zamiast „tragicznie” dać „nagle”?

– Zabieram się natychmiast do pracy. – Marek Szczygieł podkasał rękawy nie tylko w wyobraźni, ale też w rzeczywistości. – Książki o nagle zmarłych artystach, zwłaszcza jeśli zginęli w tajemniczych okolicznościach, sprzedają się jak ciepłe bułeczki.

– Nagła śmierć wpływa bardzo negatywnie na energię chi – stwierdził ponuro Kacper Gołębiowski. – Oby te złe wibracje nie dotknęły pozostałych!

– Biedna ciocia – chlipnęła Paulina Jastrzębska.

Konieczny popatrzył na nich w oszołomieniu, a potem uczepił się najbardziej konkretnej informacji, jaką usłyszał.

– Posiada pani wiedzę, która mogłaby nas przybliżyć do osoby mordercy? Związaną z czipsami i ich spożyciem? – zapytał surowo Brygidę Wronę.

– Wieśka została zamordowana? – zdumiała się Magda Sroka. – Jak? To musi się znaleźć w oświadczeniu dla mediów.

– Za pomocą herbatki – wyjaśnił Konieczny. – Czyjaś ręka dosypała do niej środek nasenny. W znacznych ilościach. A właściwie do termosu z herbatką. I nic z tego nie zamieści pani w oświadczeniu, jasne? To na razie tajemnica śledztwa.

Magda Sroka chciała zaprotestować, ale nagle na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

– A pan mnie częstował tą herbatką? Z termosu? I ją wypiliśmy?

– Ja też – odezwał się Czapla.

– Ja również. Mówił, że pyszna! Chciał nas ukatrupić! – wrzasnął Sebastian.

– Wszyscy umrzemy – jęknęła Paulina Jastrzębska.

– Nikt nie umrze – wszedł jej w słowo Konieczny. – Państwa częstowałem zupełnie inną herbatką.

– To po co ten cały cyrk? – zdumiał się Marek Szczygieł.

– To nie był cyrk – podkreślił aspirant. – Policja musi chwycić się niestandardowych metod, by ujawnić przestępcę, i temu właśnie służyła ta operacja. Odkryciu zuchwałego przestępcy.

– To była operacja? – zdziwiła się Brygida Wrona.
– I odkrył pan? – zainteresowała się Magda Sroka.
– Wskazanie osoby odpowiedzialnej za zamordowanie pani Wiesławy Orzeł nastąpi już za chwilę – zapowiedział Konieczny. – Żaden przestępca nie umknie karzącej ręki sprawiedliwości. Albowiem tej właśnie sprawiedliwości musi stać się zadość.

– No to kto zabił? – wykrzyknął Marek Szczygieł. – Dam to do pierwszego rozdziału. To będzie bestseller!

– Niech się pan nie denerwuje – szepnęłam do Koniecznego, żeby nie dostał apopleksji na wieść, że Szczygieł chce ujawnić w książce osobę mordercy. – Zanim to trafi do druku, pan już sto razy zamknie sprawę.

Konieczny spojrział na mnie z nadzieją, wziął głęboki wdech i zaczął:

– Jeszcze nie pora odpowiadać na to pytanie. Najpierw chciałem dać mordercy możliwość przyznania się do winy i oczyszczenia sumienia zbrukanego zbrodnią. Przy okazji muszę dodać, że sąd często bierze pod uwagę skrucę przestępcy, zasądzając łagodniejszy wymiar kary.

– Jak złapaliśmy dusiciela z Bełchatowa, to też od razu się przyznał, że udusił pięć osób, a myśleliśmy, że tylko jedną. – Władek pokiwał głową.

– I dostał łagodniejszy wymiar kary? – zaciekawiał się Szczygieł.

– Dożywocie – przyznał podkomendny.

– No to nie było łagodne. – Czapla się skrzywił.

– Sąd wziął pod uwagę fakt, że dusiciel był dumny z duszenia – zaznaczył Konieczny. – Gdyby wykazał skrucę i wyznał, że powodowały nim skrajne emocje, zapewne wyrok byłby inny.

– Pięć razy powodowały nim skrajne emocje? – zdumiała się Magda Sroka.

– Właściwie to siedem, bo potem przypomniał sobie jeszcze o dwóch ofiarach – dorzucił Władek. – Twierdził, że pomylił się w rachunkach.

– Jak można się pomylić o dwóch uduszonych? – zastanawiał się Szczygieł.

– To nieistotne. Ważne, że nie wykazał skruchy – uciął domysły Konieczny.

– I ile dostał za te dwie dodatkowe osoby? – dopytywał Sebastian.

– Nic. – Władek wzruszył ramionami. – Miał już dożywocie. Nie mógł dostać więcej.

– Bez sensu – prychnęła Sroka. – A gdyby sobie przypomniał, że jednak żałuje, toby mu odjęli kilka lat?

– Ważne jest, że nadszedł czas, by wyznać swoją winę. Morderca pani Orzeł mógł sobie myśleć, że zbrodnia ujdzie mu na sucho. Że na ustronnym parkingu nie napotka przedstawicieli prawa, którzy przenikną jego niecny plan. I to był błąd! Nawet tutaj, w leśnym ustroniu, jesteśmy gotowi zmierzyć się z mordercą i wskazać rękę, która wysłała Wiesławę Orzeł na wieczny spoczynek.

Cichutko wymknęłam się na zewnątrz. Znałam już Koniecznego i wiedziałam, że ta przemowa zajmie mu jeszcze ładnych parę minut. A są chwile, kiedy nawet Lucja Słotka musi zająć się swoimi sprawami. Taka chwila właśnie nadeszła.

Oczywiście w żadnym filmie nie zobaczycie sceny, w której prowadzący śledztwo musi na moment zniknąć w ustronnym miejscu. Natomiast gdybyście kiedyś, całkiem przypadkiem, znaleźli się na tym parkingu, nie próbujcie u Grubego Rycha. Najwyraźniej nie ma ręki do utrzymywania porządku w sanitariatach. Ja wybrałam las.

I któż mógłby przypuszczać, że już po kilkunastu krokach nastąpię na coś, co po bliższym przyjrzeniu się okazało się notesem. Eleganckim, w jaskrawej żółtej okładce, rzucającej się w oczy nawet w bladym blasku księżyca. Z wytłoczonym napisem: „Wieśka Orzeł. Pamiętnik”.

*

Lubicie czytać cudze pamiętniki? Nie mówię tu o wspomnieniach Churchilla, ale o pamiętniku koleżanki, który zostawiła akurat przy łóżku, gdy wyszła na zakupy. Nie kusi was troszeczkę, żeby sprawdzić, jak opisała wasze ostatnie spotkanie? I co sądzi o innych przyjaciółach?

Pamiętnik Wieśki Orzeł był pełen wpisów poświęconych innym ludziom. Można by go wertować godzinami. Mnie jednak rzucił się w oczy sam koniec. „Nie znoszę ich. Wszystkich! Darmozjady, które nie mogą niczego skończyć. I jeszcze uważają, że należy im się premia. Niedoczekanie! A już zwłaszcza...”.

Ciekawi jesteście, kto zwłaszcza, prawda?

Też byłam ciekawa. Niestety. Następna strona – ostatnia z zapisanych – została wyrwana.

Po cichu wróciłam do autobusu. Wślizgnęłam się do środka. Zdaje się, że niewiele straciłam.

– Dużo mówi się o systemie penitencjarnym, nie wspomina się jednak o tym, że warunki, w jakich przebywają osadzeni, ogromnie się polepszyły. Zaświadczy, Władek.

– Melduję, że zaświadczam. – Podkomendny wyprężył się.

– Skazani, którzy nie są recydywistami, odbywają karę ograniczenia wolności w przyjemnych ośrodkach, położonych zwykle w malowniczych rejonach kraju. Na przykład jeden z zakładów karnych znajduje się na terenie parku krajobrazowego i za oknami rozciąga się wspaniała panorama jeziora. Z kolei zakład karny w Rwidołach znajduje się w Beskidzie Niskim, na obszarze chronionym. To znaczy mam na myśli obszar przyrody. I świeże powietrze. Zaświadczy, Władek.

– Tak jest, panie aspirancie. Melduję, że zaświadczam. Kiedy odeskortałem tam tę seryjną morderczynię z Nowego Targu, była bardzo podbudowana atmosferą oraz świeżym powietrzem.

Wielokrotnie podkreślała, że tu dopiero może sobie pooddychać i nie drapie jej w gardle.

– Sami państwo widzą. – Konieczny skinął głową. – Do tego dochodzą liczne benefity, takie jak sala zajęć, gdzie można korzystać z wielu gier i przyjemnie spędzać wieczory na nawiązywaniu znajomości z innymi pensjonariuszami.

– Melduję, że dostępność gier następuje w czasie wolnym między siedemnastą a osiemnastą – zaraportował Władek.

– Nie wchodźmy w szczegóły – uznał Konieczny. – Do tego dochodzi wiele innych możliwości, jak na przykład rozwijanie hobby i zainteresowań. Obróbka drewna, wyszywanie, zajęcia z malarstwa, jest też dobrze wyposażona biblioteka...

– Melduję, że stolarnię i zakład krawiecki zamknęli z powodu braku środków na funkcjonowanie – uściślił Władek.

Konieczny przewrócił oczami i westchnął ciężko.

– To chwilowe kłopoty systemu penitencjarnego. Zanim proces mordercy Wiesławy Orzeł się zakończy, środki z pewnością się znajdą. Natomiast biblioteka wciąż działa i powiedzmy sobie szczerze: kto nie potrzebuje chwili oddechu z książką i mnóstwa wolnego czasu, aby móc wpatrywać się w góry lub łagodnie szemrzące fale jeziora oraz słuchać pokrzykiwania mew i innego ptactwa? No kto?

– A pokoje są jednoosobowe? – zainteresował się Szczygieł.

– Czterooosobowe – pospieszył z wyjaśnieniem Władek. – Chyba że zrobią dostawkę, jak jest duże obłożenie.

Konieczny się skrzywił.

– Mówimy tu o sprawcach pomniejszych wykroczeń. Ale morderca, szczególnie taki, który sam wyznałby swe winy, może liczyć na jedynekę. Zwłaszcza jeśli zasugerowałby to inspektor Wąski. A muszę powiedzieć, że znam go doskonale i z pewnością przychyliłby się do mojej prośby. Więc niech morderca wystąpi!

Konieczny potoczył wzrokiem po grupie z niemym pytaniem w oczach. Uznałam, że to dobry moment, i pokazałam mu

pamiętnik. Pochwycił go z błyskiem w oku, przerzucił kartki i dotarł do tej wyrwanej.

– Czas mordercy na wolności nieubłaganie się kurczy – zapowiedział złowróźnie. – Nowo pozyskane dane pozwolą dojść, jak to się mówi, po nitce do kłębka. A wtedy morderca nie trafi do ośrodka w Bieczu, a do zakładu w Tychach. Który, niestety, nie jest zmodernizowany. Zimą na ścianach tworzy się lód, bo system grzewczy pochodzi z dziewiętnastego wieku. Bibliotekę zamknięto z racji remontu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym i wciąż nie ma środków na jej uruchomienie. No i te szczury, których nie da się wytępić. Wychodzą nocami...

– Tam jest napisane, kto jest mordercą? W tym pamiętniku? – ożywił się Marek Szczygieł. – Chętnie umieściłbym to w książce.

– Nie mogę zdradzać tajemnic śledztwa – rozczarował go Konieczny. – Udam się teraz na wizję lokalną i dobrze radzę, żeby winny przemyślał swoją taktykę. – Zmierzył groźnym wzrokiem wszystkich obecnych. – Chodźmy, pani Lucjo.

Kiedy wyszliśmy z autobusu, aspirant ciężko westchnął.

– Niestety, mimo moich wysiłków morderca nie chce się złamać. Skinęłam współczująco głową.

– To przykre.

– Kiedy taką mowę wygłasza inspektor Wąski, morderca zwykle pęka po kilku minutach i wyznaje winę. – Konieczny zwiesił głowę. – Być może pomijam jakiś ważny aspekt.

– Niewykluczone.

– Kiedy raz inspektor Wąski doszedł do benefitów związanych z czytaniem i ogólnie pojętym wypoczynkiem, piroman z Sandomierza niemal błagał, by go zamknąć – westchnął Konieczny. – Zaraz, nie wspominałem o ofercie żywieniowej. To mogłoby mieć wpływ. Bezpłatne utrzymanie, trzy posiłki dziennie, zrównoważona dieta. Opowiem o tym po powrocie.

– Brygida Wrona z pewnością będzie chciała wiedzieć, czy można liczyć na kuchnię wegetariańską wykorzystującą awokado,

komosę i jarmuż – podsunęłam. – Jeśli tego nie ma, z pewnością nie uzna propozycji za godną rozważenia.

– Być może dałoby się wprowadzić produkty, o których pani mówi, jeśli tylko zmieściłyby się w stawce żywieniowej. Jedenaście dziewięćdziesiąt na osobodzień.

– Nie dałoby się – stwierdziłam.

– To lepiej przemilczę. Zdaje się, że starcza na dwa plasterki mortadeli i pomidora w niedzielę – przypomniał sobie Konieczny. – To tutaj znalazła pani ten pamiętnik?

Przytaknęłam. Konieczny oświetlił miejsce latarką.

– Aha! – powiedział z triumfem. Podniósł jakiś przedmiot i pokazał mi go na otwartej dłoni. – Wizja lokalna zawsze ma sens. Oto odkryłem ślad, który doprowadzi nas do mordercy.

Pokiwałam głową. Wątpliwości i wiedzę o tym, do kogo należy ten przedmiot, zachowałam dla siebie.

– Guzik, pani Lucjo – perorował Konieczny. – Zapyta pani, cóż nam po takim drobiazgu? Ja jednak wiem, że nawet tak niewielki przedmiot może wskazać zabójcę. Zapewne chciałaby pani wiedzieć, w jaki sposób.

– Zamieniam się w słuch.

– To sprawca wyrzucił tu pamiętnik. I przy okazji zgubił guzik. Wystarczy, że sprawdzimy, komu brakuje guzika, i mamy go, pani Lucjo. To było prostsze, niż sądziłem. – Uśmiechnął się. – Wracamy, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Kiedy weszliśmy do autobusu, grupa podejrzanych była pogrążona w żywej dyskusji.

– A przepustki? – dopytywał się Sebastian.

– Oczywiście, że są – potwierdzał Władek. – Już po połowie odsiadki.

– A jak dożywocie, to skąd wiadomo, kiedy jest połowa?

– Wtedy decyduje naczelnik. – Władek otarł pot z czoła. – Ale na pewno szybko.

– Ale jak szybko?

- Dziesięć lat, może piętnaście – zastanawiał się Władek.
- To nie tak szybko – zasmucił się Sebastian.
- Proszę państwa o uwagę. – Głos Koniecznego przebił się przez gwar rozmowy. – Mam dowód rzeczowy. Ten oto guzik został unaoczniony na miejscu, gdzie znajdował się pamiętnik denatki. Należy z pewnością do mordercy. Dokonam teraz wizji polegającej na sprawdzeniu, komu go brakuje.
- Panie aspirancie... – zaczął Władek.
- Później – osadził go twardo Konieczny. – Proszę okazać, kto ma brakujący guzik. To znaczy deficyt guzika. Chcę powiedzieć: komu go brakuje. Uprzedzam, że tym razem to nie przelewki.
- Panie aspirancie...
- Powiedziałem: później. Na wszystko będzie czas po ujawnieniu przestępcy – oświadczył Konieczny. – To guzik męski. A więc pan Czapla... Pan ma wszystkie guziki. Pan Gołębiwski. Pan podciągnie koszulkę. Jest guzik u spodni. Pan Papuziński. Wszystkie są. Pan Szczygieł? Wszystko się zgadza.
- Panie aspirancie... – spróbował znowu Władek.
- Ile razy mam powtarzać, żebyś nie zakłócał przebiegu śledztwa! – huknął Konieczny.
- Chciałem zameldować, że rzeczony guzik jest moją własnością – przyznał podkomendny. – Ale chciałem też zaraportować, że nie popełniłem czynu karalnego, tylko zgubiłem okazany guzik, jak poszedłem się wysikać. I po ciemku nie mogłem znaleźć.

Rozdział 9

Guzik Władka załamał aspiranta Koniecznego. Sytuacji nie polepszyły pytania podejrzanych, kiedy zjawia się ekipa dochodzeniowa oraz medycy, którzy zbadają i zabiorą ciało.

– Są w drodze – powtarzał Konieczny jak mantrę, ocierając czoło chustką.

– Strasznie długo jadą – westchnęła Magda Sroka. – Może zadzwonię i dowiem się, co ich zatrzymało?

– Wykluczone – przeraził się Konieczny. – Ingerowanie w wewnętrzne procedury policyjne jest absolutnie niedozwolone.

– Nie będziemy przecież siedzieć w tym autobusie przez całą noc – oburzyła się Brygida Wrona. – Może pojechalibyśmy chociaż do hotelu...

– Musimy najpierw znaleźć Violettę – weszła jej w słowo milcząca dotąd Paulina. – Jest ciemno, mogła się całkiem zgubić.

– I Sławomira – przypomniał jej Kacper Gołębiowski.

– A tak, jego też – zreflektowała się Paulina.

– Chce pani, żebyśmy poszli spać? – Konieczny zlekceważył los zwierząt i zwrócił się do trenerki.

– Czemu nie? Ludzie tak właśnie robią. Zwłaszcza w nocy. – Brygida Wrona wzruszyła ramionami.

– Pani być może tak. A co zrobiłby bezwzględny morderca?

– Nie mam pojęcia. Może również by się położył? W końcu morderca też człowiek.

– Otóż nie. Morderca wykorzystałby naszą chwilę nieuwagi, żeby zbiec – wyjaśnił Konieczny. – Ewentualnie zatarłby ślady.

– Ale przecież nie ma żadnych śladów – wyraził wątpliwość Sebastian. – Tylko ten guzik, ale on nie jest śladem, bo zgubił go pan policjant.

– O tym, czy są ślady, zdecyduje śledztwo – fuknął Konieczny.

– A właśnie, kiedy ono się zacznie? – chciał wiedzieć Marek Szczygieł. – Chętnie porozmawiałbym z prowadzącym i poznał szczegóły.

– Ja nim jestem. – Konieczny dumnie wypiął pierś. – I nie zamierzam nic nikomu zdradzać.

– Pan? – zdziwił się Szczygieł. – Pan jest przecież z drogówki. A Wieśka nie zginęła w wypadku drogowym.

Konieczny ponownie zrobił się purpurowy.

– Czy uważa pan, że znałbym inspektora Wąskiego, gdybym służył w drogówce? Nie jestem z policji drogowej, skądinąd bardzo potrzebnej do zapewnienia bezpieczeństwa na drogach. Dołączyłem, razem z wieloma kolegami z innych wydziałów, wyłącznie na czas weekendu, w celu wzięcia udziału w akcji „Bezpieczny spoczynek”.

– A to panom wyszło! – Sebastian parsknął śmiechem. – Wieśka Orzeł spoczywa już bardzo bezpiecznie.

– Pan się naśmiewa z czynności służbowych? – Władek zmarszczył brwi.

– Ależ skąd! – Kierowca natychmiast przybrał poważny wyraz twarzy.

Władek jeszcze przez chwilę patrzył na niego podejrzliwie. Wykorzystałam tę chwilę, żeby szepnąć do Koniecznego:

– Odetchnijmy świeżym powietrzem.

Przyjął moją propozycję z ulgą.

– Pani Lucjo, nie chcę panikować, ale jesteśmy w bardzo nieciekawej sytuacji – wyznał, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

– Doprawdy?

– Tak. – Skinął głową. – Jak pani wie, nie poinformowaliśmy o zdarzeniu centrali. Jeśli nie odkryjemy, kto jest mordercą, możemy mieć kłopoty.

Jestem osobą o miękkim sercu, nie sprostowałam więc liczby mnogiej. Zwłaszcza że w tym momencie dobiegło nas słabo

słyszalne szczekanie. Dochodziło z tira parkującego kilkanaście metrów dalej.

– Słyszysz pan? – zapytałam.

– Tak, tak, pies – odparł Konieczny, zaaferowany własnymi myślami. – Wracając jednak do sprawy...

– To może być zaginiona Violetta – wyjaśniłam.

– Sądziłem, że to Sławomir gdzieś zniknął. – Konieczny się pogubił.

– Sławomir to legwan. Violetta to pudel. Pies – wyjaśniłam na wszelki wypadek. – Oboje zaginęli.

– Nadal nie wiem... – Konieczny wyglądał, jakby zupełnie nie obchodził go los Violetty. Ale po sekundzie urwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu.

– Za mną! – rzucił, ruszając pędem do tira.

Ciężarówka miała zgaszone światła. Za przednią szybą tkwiły pokaźnych rozmiarów szalik w barwach Legii Warszawa oraz plakietka z napisem „Jaro”.

– Aha – mruknął Konieczny i zapukał w drzwi. Z wewnątrz dobiegło głośniejsze szczekanie. Konieczny szarpnął za klamkę, drzwi ustąpiły i ze środka prosto na nas wypadła Violetta. Podskakiwała ze szczęścia jak nakręcana zabawka.

– Sprawdźmy, czy jest tam też Sławomir – zaproponował Konieczny.

– Ma pan nakaz rewizji? – zainteresowałam się.

– Inspektor Wąski zwykł mawiać: „Policjant jest jak pies”. Inny pies – dodał, odsuwając radośnie podskakującą Violetkę. – Mam na myśli groźnego psa, dajmy na to, dobermana.

– Ach tak. – Skinęłam głową.

– A więc policjant jest jak doberman. Kiedy znajdzie ślad, już go nie odpuści. Wyobraża sobie pani dobermana, który waha się, czy pójść za tropem, bo nie ma nakazu rewizji?

– Absolutnie nie – zapewniłam.

– Otóż to – pochwalił mnie Konieczny. – Będą jeszcze z pani ludzie, pani Lucjo.

Stanął na schodku i zajrzał do kabiny.

– No proszę, co my tu mamy? – zawołał z triumfem i podał mi duże zdjęcie Wieśki Orzeł. – I właśnie dlatego, pani Lucjo, lubię wspominać słowa inspektora Wąskiego. Zwykł on mawiać: „Jeśli nie znasz drogi, idź za swoim instynktem”. Proszę to zapamiętać. Bo co, gdybym nie zdecydował się wyjść na zewnątrz, nie usłyszał szczekania psa, nie postanowił zrobić wizji lokalnej? – Zawiesił głos.

– Nie odkryłby pan zdjęcia? – wysunęłam przypuszczenie. Przemilczałam natomiast zmianę liczby mnogiej na pojedynczą.

– Właśnie. – Uśmiechnął się z triumfem.

– Wyłazić! – przerwał nam jakiś głos. – Ale już. Bo kulasy poprzetrącam!

Do tira podszedł facet: wielki, ogolony na łyso, pokryty tatuażami, w skórzanej kamizelce narzuconej na gołe ciało. Z pewnością był to Jaro.

– Policja – oznajmił Konieczny, wyłaniając się z szoferki.

Jaro popatrzył na niego z niedowierzaniem, a kij baseballowy, który trzymał w ręce, tylko nieznacznie się obniżył.

– Taaaa, a ja kibicuję Arce Gdynia – wycedził. – Co robicie w mojej budzie?

– Prowadzimy czynności operacyjne – wyjaśnił z godnością Konieczny. – Znał pan Wiesławę Orzeł? Rozmawiał pan z nią?

Na twarzy Jara malowały się wysiłek umysłowy i burza uczuć. Dopiero po dłuższej chwili padła odpowiedź:

– A bo co?

– To my jesteśmy od zadawania pytań – pouczył go Konieczny. – Znalazł się pan w posiadaniu pieska będącego własnością pani Wiesławy Orzeł.

– Ależ skąd – obruszył się Jaro.

– Proszę nie zaprzeczać faktom. Oto on. – Konieczny wskazał radośnie skaczącą Violettę.

– Pierwszy raz widzę sukę – mruknął Jaro.

– A więc wie pan, że to suczka – podchwycił Konieczny.

– Nie, no skąd. – Jaro przełknął ślinę i odłożył kij. – Latała tu sobie. Tutaj czasem biegają różne psy.

– A ona akurat wbiegła do pana szoferki? – dopytywał Konieczny.

– Mogło tak być. – Jaro energicznie pokiwał głową. – Psy mnie lubią.

– Do tego stopnia, żeby otworzyć sobie drzwi?

– Może były lekko uchylone. A potem zamknął je wiatr.

– To byłaby interesująca koincydencja. – Konieczny pokręcił z niedowierzaniem głową. – Tak więc zeznaje pan, że rzeczona suczka wpadła do pana samochodu i się w nim zatrzasnęła, a pan nie ma pojęcia, do kogo ona należy?

– Zielonego pojęcia. – Jaro uderzył się w pierś wielką łapą w skórzanej rękawiczce bez palców. – Jak mamusię kocham.

– Rzeczona suczka ma na obroży napis „Violetta Orzeł” oraz numer telefonu. Być może to pomogłoby panu ustalić tożsamość psa – podsunął Konieczny.

– Nie zauważyłem. – Jaro zwiesił głowę. – Ja w ogóle jestem mało spostrzegawczy.

– Proszę za mną. – Aspirant zmarszczył brwi. – Może wizja lokalna coś panu przypomni.

Ruszyliśmy do autobusu. Violetta, którą Jaro podobno widział pierwszy raz w życiu, wskakiwała na niego łapkami, domagając się wzięcia na rękę.

– Och! – Na nasz widok Magda Sroka przyłożyła obie dłonie do ust. – To on!

Koniecznemu zaświeciły się oczy.

– Poznaje pani tego mężczyznę? – spytał.

Sroka pokiwała energicznie głową.

– Kręcił się koło naszego autobusu, kiedy szliśmy do Grubego Rycha. Trudno go nie poznać.

Trudno było się nie zgodzić.

– I co pan na to? – zapytał srogo Konieczny.

– Może trochę się kręciłem – przyznał niechętnie Jaro. – Zaciekawiał mnie ten autobus. Że taki elegancki.

– I psa ukradł – oskarżyła go Brygida Wrona.

– W życiu bym nie zwinął psa – zdenerwował się Jaro. – Kocham psy. A za moją Pipunię to życie bym oddał. O, tu jest. – Wyprężył w naszą stronę mięsień prawego ramienia. Wdzięczyła się na nim eteryczna jamniczka w koronie z podpisem „Pipunia Forever”. Na drugim ramieniu natomiast widniał kij baseballowy i napis gotykiem „Jebać psy”.

– Ale to nie dotyczy Pipuni ani innych psiaków. – Jaro pochwycił moje spojrzenie. – Tylko poli... – Urwał i popatrzył spode łba na Koniecznego i Władka.

– Mniejsza z tym. – Aspirant machnął ręką. – Proszę zeznawać dalej. Władek, jesteś świadkiem zeznań podejrzanego.

– Podejrzanego? – przeraził się Jaro. – Ja przecież jestem czysty jak łza. Podejrzanym to był taki jeden typ, którego raz widziałem na spacerze z Pipunią.

– Podejrzanym? – Konieczny zapatrzył się na tatuaż z boku szyi Jara. Przedstawiał maczetę z trupa głową.

– To znaczy od razu było widać z wyglądu, że niebezpieczny – tłumaczył Jaro. – Mnóstwo dziwnych typów się tu kręci. Czasem strach człowieka oblatuje, żeby z pieskiem na spacer iść, tyle tego łobuzerstwa na ulicach.

– I co z tym typem? – ponaglił go Konieczny.

– Już mówię. Typ się rzuca, że gdzie tu z psem, przecież zielen jest i pies ją niszczy. A Pipunia to by nigdy nic nie zniszczyła. Taka jest kochana, jak się przytula do człowieka na łóżku. A zieleni to już w ogóle by nie podeptała. „Wypierdalaj” – mówi mi ten typ do mojej Pipuni, bardzo niekulturalnie. To mu

powiedziałem, żeby sam się tam udał, gdzie Pipuni zaproponował. A on na to, że ma dwóch kolegów i oni mi się pomogą tam udać razem z tym kundlem. To znaczy Pipunię miał na myśli, chociaż ona rodowodowa jest. No i ja sobie myślę: jak tak być może, żeby piesek nie mógł się spokojnie wysikać. We trzech na małą Pipunię?

– Do rzeczy – przywołał go Konieczny.

– No to już koniec. – Jaro westchnął ciężko. – Przekonałem go, że to niegrzeczne i powinien na przyszłość zastanowić się, zanim coś powie.

– Kolegów też pan przekonał? – zapytałam się.

– Tak. – Jaro pokiwał energicznie głową. – Również byli bardzo niekulturalni. Jeden miał pałkę teleskopową, a drugi kastet. A ja miałem tylko małą smycz Pipuni. Ale na szczęście nic się nie stało.

– Nic? – Konieczny wyglądał, jakby nie do końca w to wierzył.

– Całkowicie nic – potwierdził Jaro. – Pipunia wyszła bez szwanku, tylko się trochę zdenerwowała. Jamniki to są okropnie nerwowe psy.

– A ci trzech...?

– Obrażenia niezagrażające życiu, poniżej siedmiu dni zwolnienia lekarskiego – wyrecytował Jaro. – Obiecali, że już będą kulturalni, i teraz zawsze się Pipuni kłaniają. Nawet zaczęły kibicować Legii, bo wcześniej to Polonia Warszawa. Szkoda gadać, Polonia w czwartej lidze przecież gra, z czym do ludzi...

– Rozumiem, że ta sytuacja nie wydarzyła się jednak dzisiaj w nocy, tu, na parkingu – weszłam Jarowi w słowo. – I nie ma nic wspólnego ze śmiercią pani Orzeł.

– To pani Orzeł nie żyje? – zachłysnął się Jaro. – Boże, taka tragedia, najlepsza polska piosenkarka! Jak to możliwe? Przecież my tu dopiero...

– A, czyli przyznaje się pan, że miał koincydencję z panią Orzeł! – Konieczny chrząknął i spojrzał znacząco na Władka,

który najwyraźniej chętnie posłuchałby dalej historii o pokonaniu kibiców Polonii Warszawa. – Wróćmy do tego, jak pan wszedł w posiadanie Violetty.

– Nie wchodziłem w posiadanie – zapewnił żarliwie Jaro. – Biegała taka smutna, to chciałem ją rozweselić i zabezpieczyć, żeby się nie zgubiła. Wiedziałem, że to piesek pani Wieśki, bo była tu w autobusie wcześniej, jak zapukałem, żeby złożyć uszanowanie. Bo ja bardzo cenię ją jako artystkę. Panią Wieśkę, nie Violetkę. A ona nawet zaprosiła mnie na herbatkę. Pani Wieśka, nie Violetta.

Koniecznemu zaświeciły się oczy.

– Czyli nie zaprzecza pan, że był obecny na miejscu zbrodni – zawołał triumfalnie.

– Jakiej zbrodni, matko święta?! – przeraził się Jaro. – Ja do tego autobusu wszedłem bardzo kulturalnie, najpierw zapukałem, już to przecież mówiłem. Bo ludzie to czasem jakoś przesadnie reagują na mój widok. Myślę sobie, że to przez tę Pipunię uwiecznioną na ramieniu. Wzrusza ich piesek.

– Możliwe też, że przez maczetę i trupa czaszkę – podsunęłam.

– E, chyba nie. – Jaro przesunął odruchowo dłoń po głowie. – To tylko element ozdobny.

– Do rzeczy – przywołał Jara po raz kolejny Konieczny. – Więc kiedy pan wszedł do autobusu, pani Orzeł żyła.

– Oczywiście, że żyła! Najpierw mówiła, że jest zmęczona. Ale jak opowiedziałem jej o Pipuni, to się uśmieła i sama mi opowiedziała o Violetcie, jak ją broniła przed listonoszem. Mogę przytoczyć...

– Później – warknął Konieczny. – Co jeszcze mówiła?

– Skarżyła się na ciężką pracę – wyliczał Jaro. – I narzekała na męża. Mówiła, że wciąż ją dołuje. I przypisuje sobie jej zasługi.

– To pomówienie! – zawołał Janusz Czapla. – Widzieliście wszyscy, jak bardzo ją wspierałem.

– To nie jest przedmiotem dochodzenia – uciał Konieczny. – I co dalej?

– Już mówiłem. Zaprosiła mnie na herbatkę. To znaczy chciała mnie poczęstować, miała ją przygotowaną w termosie, ale niestety musiałem odmówić. Jak się napiję wieczorem herbatki, to potem cała noc z głowy, za nic nie usnę. Co innego kawa, nawet o północy mogę wypić i pięć minut później śpię jak zabity.

– Ach tak. – Konieczny zatarł ręce. – A sobie naląła?

– Naląła.

– I wypila?

– A to nie pamiętam. – Jaro wzruszył ramionami. – Opowiadałem o Pipuni. Wie pan, jaka z niej zmyślna bestia? Kiedyś się zgubiła, już się łzami zalewałem, że ją straciłem, a ona znalazła mój samochód i przy nim czekała.

– Oczywiście – niecierpliwił się Konieczny. – A co było potem?

– Pojechaliśmy z Pipunią do domu, co miało być? – zdziwił się Jaro.

– Co było po pana rozmowie z panią Orzeł – wyjaśnił Konieczny, zaciskając szczękę.

– Pani Wieśka dała mi autograf.

Konieczny odwrócił fotografię, którą zabraliśmy z samochodu. Z tyłu przez całą szerokość biegł napis: „Jarkowi i Pipuni z miłością – Wieśka”.

– No tak. – Konieczny chrząknął. – I to wszystko?

– Jeszcze pożegnałem się i wyszedłem.

Aspirant miał tak rozczarowaną minę, że zrobiło mi się go żal. Już miałam wkroczyć do akcji, ale Jaro podrapał się po głowie. Coś sobie przypomniał.

– Pani Wieśka powiedziała na koniec coś dziwnego...

– Tak? – Konieczny poderwał głowę.

– Kiedy stwierdziłem, że wolę kawę, pani Wieśka powiedziała, że dziś to wszyscy tylko kawa i kawa. I że właśnie przed chwilą

kogoś częstowała, a ona, bo to jakaś pani była, się zapierała, jakby ta herbatka była zatruta.

Konieczny skoczył na równe nogi.

– Nazwisko, człowieku! Nazwisko!

– No właśnie nie pamiętam – westchnął Jaro. – Ale zaraz, zaraz, coś mi się kojarzy. Coś z ptakiem.

– Sroka? Wrona? Jastrzębska? Czapla? Szczygieł? Papuziński? – Konieczny wyrzucał z siebie nazwiska jak karabin maszynowy naboje.

– No właśnie. Coś takiego – uśmiechnął się Jaro. – Pomogłem?

Rozdział 10

Znacie filmy z Brudnym Harrym? Na pewno tak. A czy uważacie, że Konieczny sprawdziłby się w takiej roli?

No właśnie, ja też nie.

Chociaż na początku szło mu całkiem nieźle.

– Wszyscy mężczyźni do Grubego Rycha, tylko bez gadania – zakomenderował. – A panie zostaną poddane dodatkowemu przesłuchaniu.

– Skąd ta nagła decyzja, że morderca jest kobietą? – zainteresował się Szczygieł. – Może zdradziłby pan jakiś szczegół, a ja bym to opisał?

– Nie ma czasu, wychodzić – popędził go Konieczny.

Począł, aż wszyscy mężczyźni wyjdą. A potem dał mi znak głową i też wysiedliśmy.

– Będziemy mieć ich na oku, żeby się nie rozleźli – powiedział aspirant, wpatrzony w plecy idących w ciemności mężczyzn. – Ale jeśli pani chce, mogę wykorzystać tę chwilę, żeby przedstawić swój plan.

Oczywiście chciałam.

– Otóż, pani Lucjo, teraz, kiedy wiemy już, że mamy do czynienia z morderczynią, a nie mordercą – opowiadał zachwycony – zastosujemy strategię, którą w policji nazywamy strategią „na dobrego i złego policjanta”. Zapewne nie słyszała pani o tym sprytnym sposobie...

– Coś obilo mi się o uszy. – Chrząknęłam.

– Inspektor Wąski mawia: „Kiedy inne środki zawodzą, doprowadź podejrzanych na skraj przepaści, a gdy będą sądzić, że czeka ich upadek, niech twój partner ich uratuje”.

– Wyjątkowo długa sentencja jak na inspektora Wąskiego – zauważyłam. – I co, ten partner ratuje?

– Mniej więcej. Podejrzani są zawsze tak przerażeni wizją, którą przedstawia inspektor Wąski w roli złego policjanta, że od razu się przyznają. Nawet nie musi przychodzić ten dobry. – Konieczny energicznie pokiwał głową. – Władek może zaświadczyć.

– Melduję, że zaświadczam – oznajmił Władek.

– Dlatego teraz pójdziemy tym śladem – obwieścił Konieczny. – Ja odegram rolę złego policjanta, a kiedy podejrzane zaczną pękać, łamać się i być może nawet płakać, bo tak też się może zdarzyć, Władek zjawi się jako dobry policjant i przedstawi jasną wizję wymiaru sprawiedliwości i wszystkie profity wiążące się z przyznaniem do zbrodni.

– To znaczy co przedstawię? – zaniepokoił się Władek.

– Kiedy ja przerażę ich śmiertelnie konsekwencjami popełnionego czynu, wkroczysz ty i jako dobry policjant opowiesz, jak wspaniałe stanie się życie morderczyni, gdy tylko się przyzna i podpisze zeznanie. – Konieczny cierpliwie wyjaśniał wszystko Władkowi. – Mieliśmy to na kursie. Pamiętasz?

– Melduję, że nie do końca.

– Chcesz spędzić resztę życia na posterunku w Bieszczadach? – syknął Konieczny.

– Żona mówiła, że mogłaby tam mieszkać – zamyślił się Władek. – Byliśmy dwa razy na urlopie i przeszliśmy Połoniną Caryńską...

Gdyby wzrok mógł zabijać, Władek dogorywałby właśnie w agonii. Ponieważ jednak Konieczny nie miał tej umiejętności, po prostu walnął pięścią w najbliższe drzewo i syknął z bólu.

– Chwast jeden! – warknął, rozcierając knykie.

– Melduję, że to brzoza – oświadczył Władek.

– A chciałbyś kontynuować karierę w Mławie? – przerwał mu Konieczny.

– W życiu! – wzdrygnął się podkomendny. – Tam mieszka moja teściowa.

– No to wyobraź sobie, że wszystkie twoje prośby o inny przydział zostają odrzucone – ciągnął mściwie Konieczny – a ty spotykasz teściową codziennie, rano, w południe i wieczorem.

– Błagam, nie! – Władek zbladł. – Ja wszystko powiem.

– Wpadałaby do was w drodze po bułeczki... – Konieczny nie ustępował.

– O nie! – Władek zakrył twarz rękami. – Kiedyś wstąpiła do nas niespodziewanie w drodze na pielgrzymkę. Po godzinie zamierzałem rzucić się pod pociąg. Po dwóch poszedłem położyć się na tory. Ale pospieszny do Olsztyna miał sto osiemdziesiąt minut opóźnienia i żona mnie znalazła, po czym zrobiła mi awanturę, że leżę i pożytku ze mnie nie ma.

– Miałybyś to dzień w dzień. – Konieczny nie ustępował.

– Błagam! – Czoło Władka pokryło się potem. – Tylko nie to!

– Ale gdybyś się przyznał... Dostałbyś miłą celę.

– O tak, tak. – Władek uśmiechnął się z nadzieją.

– Może ładny widok z okna...

– Mógłbym wędkować od czasu do czasu?

– Na pewno naczelnik poszedłby na rękę. – Konieczny się uśmiechnął. – Rybki, czas wolny, świeże powietrze, koledzy...

– Dobrze, przyznaję się – uradował się podkomendny.

– Podpisz tu zeznanie. – Konieczny wyciągnął kartkę, a Władek złożył zamaszysty podpis. – Mam nadzieję, że obserwowała pani z uwagą moją demonstrację, pani Lucjo – zwrócił się do mnie aspirant. – W ten właśnie sposób uzyskamy zeznanie mordercy.

– A do czego przyznał się Władek? – zaciekawiałam się.

– Do sprzeniewierzenia trzydziestu milionów złotych, przeznaczonych na zakup nowych radiowozów.

Władek zbladł.

– Melduję, że ja nic...

– Ale przecież ich nie sprzeniewierzył – wysunęłam wątpliwość. – Tylko tak się pana przestraszył, że prawdopodobnie

przyznałby się również do zamordowania Wiesławy Orzeł.

– Melduję, że tak było, panie aspirancie.

– A jeśli do morderstwa przyzna się któraś z pań, która go nie popełniła? – drążyłam. – Bo też ją pan przestraszy jako zły policjant?

– Inspektor Wąski mawia: „Wsadź wszystkich, sprawiedliwość rozpozna swoich”. To znaczy, że machina sprawiedliwości odsieje niewinnych.

– Nawet jeśli przyznają się na piśmie do czegoś, czego nie zrobili? – zdumiałam się.

– Człowiek niewinny nie przyznaje się do czynów, których nie popełnił – stwierdził Konieczny z powagą.

– Pan Władek właśnie to zrobił – przypomniałam mu.

– Och, Władek to stan umysłu. – Konieczny machnął ręką. – Niemniej tak właśnie zagramy. Władek, jesteś gotowy? Najpierw ja je straszę, potem ty pocieszasz i przedstawiasz program benefitów.

– Tak jest – zameldował Władek, choć jego ciało zdawało się mówić „nie”. I to w bardzo zdecydowany sposób.

Wróciliśmy do autobusu i Konieczny zaklaskał w dłonie.

– Proszę pań – zaczął – czynności śledcze dobiegają końca. Podobnie jak chwile, którymi morderczyni cieszy się na wolności. Już za moment ta bezwzględna przestępczyni trafi do więzienia i spędzi tam następne kilkadziesiąt lat.

– Ale z widokiem ta cela? – dociekała Brygida Wrona.

– Bez widoku – kontynuował ponurym tonem Konieczny. – Trafi do ponurej dwunastoosobowej nory, w której nie będzie mogła się położyć ani usiąść, a tylko raz dziennie wyjść na wybieg, gdzie kilkaset innych przestępczyń będzie tylko czekać, żeby wbić jej w oko kawałek szkła.

– Bardzo nieprzyjemne. – Magda Sroka się skrzywiła. – A czy w więzieniu są fitness i siłownia?

– W kantynie dostanie nieco wody z kilkoma rozgotowanymi warzywami i pajdę spleśniałego chleba – mówił dalej Konieczny. – Tak, niestety, wygląda na co dzień polski system penitencjarny. Brak pieniędzy i perspektyw. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu więźniarki pobiły nowo osadzoną koleżankę, bo nie chciała się podzielić batonikiem, który dostała w paczce z domu. Kobieta w ciężkim stanie wylądowała w izolatce. Co się stało z batonikiem, nie udało się ustalić. Prócz tego, że był to prince polo.

Konieczny wymownie spojrzął na Władka, ale ten najwyraźniej nie zrozumiał zachęty.

Aspirant zmierzył go groźnym spojrzeniem, nabrał powietrza w płuca i powiedział:

– Ale przecież nie musi tak być... – Dał wzrokiem sygnał Władkowi, który jednak nadal milczał i najwyraźniej rozważał czarne scenariusze. – Może być zupełnie inaczej.

W końcu szturchnął energicznie Władka, a ten drgnął i rozkojarzonym wzrokiem spojrzął na przełożonego.

– Los morderczyni będzie godny pożałowania – huknął Konieczny. – Prawda?

– Melduję, że tak. Zwłaszcza jeśli trafi do zakładu karnego w mieście, w którym mieszka jej teściowa – odpowiedział służbiście podkomendny. – Odwiedzałyby ją co czwartek i opowiadała, jak to synowa zmarnowała życie jej latorośli.

– Ale przecież nie musiałyby tak być – jęknął Konieczny i ukrył twarz w dłoniach.

– Melduję, że nie musiałyby – orzekł Władek z ponurą miną. – Melduję, że mogłoby być gorzej. Teściowa mogłaby uzyskać przepustkę dwa razy w tygodniu...

Aż zrobił się biały na samą myśl.

– Wróćmy do meritum. – Konieczny poderwał się z miejsca. – Przecież nie musi być tak, jak mówi kolega. Wyobraźcie sobie panie: zakład półotwarty, możliwość opuszczania go w dzień

i obowiązek powrotu wyłącznie na noc. Zdrowy tryb życia, wygodne materace...

– Zaraz, bo już się pogubiłam – przerwała mu Brygida Wrona. – To w tym więzieniu jest okropnie czy raczej wygodnie i miło? Czy to są dwa różne więzienia?

– To pierwsze. – Władek się wzdrygnął. – I teściowa może przyjść w każdej chwili.

– Nie ma żadnej teściowej! – wrzasnął Konieczny, któremu puściły nerwy. – Teściowa nie jest przedmiotem śledztwa!

– Ja też już się pogubiłam. – Magda Sroka wzruszyła ramionami. – W tej opowieści jest za dużo teściowych, ale nie wiem, czy jesteśmy w luksusowym all inclusive, czy tam, gdzie wbijają szkło w oko?

– Pani Lucjo! – Konieczny złapał mnie za rękę. – Wyjdźmy stąd. Natychmiast!

Na parkingu przed autobusem aspirant trochę ochłonął. Już po chwili przestał kopać w latarnię i, dla odmiany, zaczął podskakiwać na jednej nodze.

– Chyba złamałem sobie palec u stopy – poskarżył się.

– To możliwy skutek kopania w latarnię – przyznałam.

– Z kim ja pracuję, pani Lucjo?! – Konieczny usiadł na asfalcie pod latarnią i pomacał stopę. – Boli!

– Latarnia zawsze pokona stopę – stwierdziłam sentencjonalnie.

– To powiedział inspektor Wąski? – zaciekał się Konieczny.

– Owszem, mógł – uznałam.

– Ale, pani Lucjo, czy tak się zachowuje dobry policjant? – jęknął ponownie Konieczny. – Mówię teraz znowu o Władku.

– Sądzę, że przesadnie owładnął nim strach przed teściową.

– Jednak inspektor Wąski to geniusz. On to potrafi być dobrym i złym policjantem naraz – westchnął Konieczny. – Gdyby tu był, winna od razu by wszystko wyznała. Niestety, w zaistniałej sytuacji inspektor Wąski gotów pomyśleć, że jestem

niekompetentny. Co to za światła? – Zerwał się na równe nogi i popatrzył z niepokojem na niebieskie rozbłyski przy wjeździe na parking. – Oby nie policja. Bo jeśli ktoś wezwał radiowóz, a ja nie mam morderczyni, to już po mnie, pani Lucjo – dodał grobowym tonem.

- To karetka... – uspokoiliam go.
- Co za ulga!
- ...która jedzie do nas – dokończyłam.

*

Dwóch ratowników, sądząc po wyglądzie, nie ukończyło jeszcze liceum. Może zresztą podstawówki też nie. W za dużych pomarańczowych kombinezonach sprawiali wrażenie przebranych uczniów ósmej klasy.

– Zgłoszenie zejścia to gdzie? – zapytał wyższy brunet z ledwo sypiącym się zarostem.

– Nigdzie. Nie ma żadnego zejścia – zaprzeczył Konieczny.

– Dostaliśmy informację: zejście śmiertelne, kobieta, pięćdziesiąt dwa lata. – Brunet popatrzył na nas wyczekująco. – W autobusie. Zaraz przyjedzie też radiowóz, tylko funkcjonariusze nie wrócili jeszcze z akcji „Bezpieczny spoczynek”.

Konieczny spojrzał na mnie w panice.

– A, ta kobieta – powiedział po namyśle, jakby właśnie przypomniał sobie o zwłokach. – To niepotrzebnie panowie przyjeżdżali. Wszystko z nią dobrze. Tylko trochę słabo się czuje.

– To podamy apap – ucieszył się wyższy ratownik. – Mamy go mnóstwo.

– Już dostała. I czuje się lepiej.

– Reaguje na światło? – dociekał niższy.

– Tak jakby trochę porusza powieką. Tyci, tyci – wyznał Konieczny ostrożnie. – Naprawdę nie muszą się panowie kłopotać.

– Proszę nas zaprowadzić – rozkazał wyższy ratownik.

– Niepotrzebna strata czasu. A panowie mają przecież innych chorych, prawda?

– Sprawdzimy tylko puls i jedziemy – zapewnił ten niższy.

I obaj ratownicy ruszyli w stronę autobusu.

Konieczny pokuśtykał za nimi.

– Może panowie zerkną lepiej na moją nogę. Chyba złamałem. Kopałem w latarnię i nagle poczułem przeraźliwy ból.

– Czemu kopał pan w latarnię? – Wyższy spojrzał na aspiranta z osłupieniem.

– Długa historia. – Konieczny machnął ręką. – Obejrzy pan?

– Zaraz – pocieszył go niższy. – Ale najpierw ta kobieta.

Pokręciłam głową. Sprawy zmierzały w złą stronę i nadszedł czas, bym zainterweniowała.

Ruszyłam w stronę tirów.

Rozdział 11

– Czuję, że jestem o krok od rozwiązania zagadki. – Konieczny westchnął, kiedy znowu spotkaliśmy się przed autobusem, i zapatrzył się w migoczące na niebie gwiazdy. – Inspektor Wąski zwykł tak mawiać. I mówił coś jeszcze o galaktyce, ale wypadło mi z głowy.

Czułam, że coś mi w życiu umyka przez to, że ciągle nie zdecydowałam się wydać myśli inspektora Wąskiego drukiem. Być może tym czymś była fura pieniędzy.

– Pewnego razu, gdy inspektor prowadził śledztwo dotyczące zuchwałego napadu i pobicia z użyciem kija baseballowego – ciągnął Konieczny – powiedział: „Każdy używa kija w inny sposób”.

– To prawda? – Dało mi to do myślenia.

– Oczywiście. Inspektor Wąski kazał czterem podejrzanym uderzać kijem w zaparkowane samochody. Jedni walili w przednią szybę ze złością, z kolei inni anemicznie. Inspektorowi Wąskiemu wystarczyło kilka minut, żeby wskazać Golonkę.

– Bo Golonka uderzał najmocniej?

– Nie tylko. Inspektor Wąski uważa, że każdy morderca ma inną motorykę uderzenia – podkreślił Konieczny. – Obecni na miejscu Kaszana i Młotek też walili silnie, ale Golonka uderzał w samochód charakterystycznymi seriami. Gdyby tak odkryć motorykę zabójcy w przypadku tej zbrodni...

– Trudno odkryć motorykę towarzyszącą zatruciu herbatki – zwróciłam uwagę.

– Ale da się to zrobić przy innych działaniach przestępczyni. – Konieczny nagle się rozpromienił. – Pamiętnik, pani Lucjo! Pamiętnik!

– Co z nim?

– Pamięta pani wyrwaną kartkę? Morderca, a właściwie morderczyni wyrwała kartkę. Zapewne zadaje sobie pani pytanie, co by zrobił teraz inspektor Wąski?

– Zbadał motorykę wyrywania kartek?

– Otóż to. Kazałby wszystkim wyrywać kartki. I my też tak zrobimy.

Ruszył w stronę autobusu, wymachując rękoma.

– Mamy ją, pani Lucjo! Nie wie pani, czy dysponujemy jakimiś zeszytami, notatnikami, czymkolwiek?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wpadł do środka jak burza.

– Co z tymi zeszytami, pani Lucjo?

Podalam mu pamiętnik Wieśki Orzeł.

– Ale przecież to dowód rzeczowy!

– Ma mnóstwo pustych stron – zauważyłam. – Nic innego nie mamy, to nie szkoła.

Konieczny przekartkował pamiętnik, ale jeszcze się wahał.

– Czy inspektor Wąski nie mówił czegoś o tym, że na bezrybiu i rak ryba? – podsunęłam.

– A wie pani, że tak, pani Lucjo? Pamiętam, powiedział kiedyś, że jak ktoś nie ma chleba, powinien jeść ciastka.

Chrząknęłam. To dobra metoda, żeby się nie roześmiać.

– Myślę więc, że może pan spokojnie zastosować pamiętnik do badań motoryki.

Konieczny pokiwał w zadumie głową. Kobiety z ekipy Wieśki Orzeł obserwowały go z wypiekami na twarzy.

– Szanowne panie... – zaczął aspirant, ale nie skończył.

W tym momencie otworzyły się drzwi sypialni Wieśki Orzeł i wyszli dwaj ratownicy.

– Ona nie żyje – zakomunikował ten wyższy.

– Całkowicie nie żyje – zgodził się niższy. – Nic nie mogliśmy zrobić.

– Oczywiście, że nie żyje. To były jakieś wątpliwości? – zdumiała się Magda Sroka. – A ja tu niepotrzebnie tracę czas,

zamiast układać oświadczenie dla mediów!

– Ten pan mówił, że to sprawa dyskusyjna. – Niższy ratownik oskarżycielskim gestem wskazał na Koniecznego.

– Ależ nic podobnego. – Aspirantowi, zauważyłam to z uznaniem, nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy.

– Podjęliśmy działania, resuscytację oraz elektrowstrząsy, ale nic to nie dało. Jest martwa, i to od dłuższego czasu.

– Przecież została otruta – powiedziała Brygida Wrona. – Więc musi być martwa.

– Skoro pan wiedział, że ta kobieta nie żyje, to czemu pan nas wprowadzał w błąd? – Miał pretensje niższy ratownik. – Możemy zgłosić to na policję jako utrudnianie akcji ratunkowej.

– Ja jestem z policji – burknął Konieczny, ale ratownik albo nie dosłyszał, albo nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

– Wie pan, jakie kary grożą za utrudnianie pracy służbom ratunkowym? Wie pan, ilu osobom moglibyśmy ocalić życie, gdybyśmy nie tracili czasu na zbędną akcję?

Pewnie niewielu, bo parking był mocno oddalony od wszelkich ludzkich siedzib. Ale Konieczny najwyraźniej o tym nie pomyślał. Zrobił się czerwony jak burak, potem zbladł, a następnie znowu spłoszował. Pomyślałam, że udawanie polskiej flagi może nie wyjść mu na zdrowie, i postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce.

– Ten pan też jest z policji. – Wskazałam na Władka. – Wyjdziemy na zewnątrz i przesłucha podejrzanego.

– Podejrzanego?! – Konieczny zakrztusił się wciągniętym do płuc powietrzem.

– Na zewnątrz! – Wypchnęłam go z autobusu, a za nim Władka i ratowników.

– Mówił, że kobiecie nic nie dolega. – Niższy z ratowników zwrócił się do podkomendnego. – To jest utrudnianie akcji ratunkowej. Trzeba go zamknąć.

– Pana Koniecznego? – Władek aż się skurczył w sobie.

– Koniecznie zamknąć Koniecznego – zarechotał ten wyższy. – Gdyby ludzi nie trzymały się takie głupie żarty, tobyśmy ratowali więcej chorych i rannych, a nie próbowali reanimować zwłoki, które się nie ruszają.

– Pan przesłucha podejrzanego – zwróciłam się do Władka. – A panom dziękuję za obywatelską postawę. Czas ratować tych chorych, o których panowie przed chwilą wspomnieli.

Trąciłam Władka, który wyprężył się i trzasnął obcasami.

– Melduję, że zaczynam przesłuchanie. Nazwisko?

– Konieczny – sapnął aspirant. – Czy to na pewno konieczne, pani Lucjo?

Pokazałam dyskretnie głową dwóch ratowników, którzy przyglądali się przesłuchaniu.

– Imię? – kontynuował Władek.

– Mniejsza z tym – wykręcił się Konieczny. – Pani Lucjo, czas nas goni – jęknął.

– Naprawdę już panom dziękujemy. Resztą zajmiemy się sami. – Uśmiechnęłam się do ratowników tym przepięknym uśmiechem sugerującym odbiorcom, że powinni natychmiast udać się w zaplanowaną podróż. Zdziałało i ratownicy wreszcie sobie poszli. Wsiedli do karetki i ruszyli w stronę wyjazdu z parkingu.

– Imię? – nalegał Władek.

– Odczep się już – syknął Konieczny.

Władek wyglądał na zbitego z pantałyku.

– Melduję, że naprawdę nie znam pana imienia, panie aspirancie.

– Właściwie to ja również go nie znam – dołączyłam się.

– I niech tak pozostanie – zdecydował Konieczny. – Do dzieła. Słyszeliście, co powiedzieli ci nadgorliwi ratownicy. Że policja już tu jedzie. A inspektor Wąski jest pewnie w pierwszym radiowozie, jak to ma w zwyczaju. Mam najwyżej kilkanaście minut na ujęcie mordercy!

Ruszył w stronę autobusu.

– Czyżby coś wstydliwego? – Zmarszczyłam w zamyśleniu brwi. – Brajan? Kevin? Kevin sam na posterunku?

– Żarty się pani trzymają, pani Lucjo – fuknął Konieczny. – To poważne imię, a nie żadne śmichy-chichy.

– Bez wątpienia. – Skinęłam głową. – Zygmunt? Adam? Inny wieszcz?

– To nie jest przedmiotem dochodzenia – oznajmił stanowczo Konieczny i wszedł do środka.

Władek i ja poszliśmy za nim. Aspirant spojrzał na Paulinę Jastrzębską, Magdę Srokę i Brygidę Wronę, aż zadrżały.

– Morderca jest wśród nas – oznajmił z mocą. – A właściwie morderczyni. Ponieważ nie chce się sama ujawnić, mimo moich licznych prób przemówienia jej do sumienia, inaczej odkryjemy jej tożsamość.

Kobiety z ekipy Wieśki Orzeł tkwiły w swoich fotelach nieporuszone. O ile mogłam się zorientować, nie przelykały też śliny ani nie mrugały.

– Przeprowadzimy eksperyment dochodzeniowy – wyjaśnił Konieczny. – Zadaniem każdej z pań będzie usunięcie jednej losowo wybranej strony ze środka tego pamiętnika. Wybór metody usunięcia pozostawiam paniom, natomiast należy tego dokonać szybko. Czy wszystko jest zrozumiałe?

– I wtedy pojedziemy już do hotelu i będziemy mogły położyć się spać? – upewniła się Brygida Wrona. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że nieregularny sen jest przyczyną większości chorób. W tym problemów kardiologicznych, kłopotów z wątrobą, a także chorób psychicznych.

– Ja mam problemy z wątrobą – wtrącił Władek.

– Zdarza się panu pić alkohol? – zapytała Wrona.

– Alkohol? – Władek podskoczył niemal pod sufit. – Czasem na weselu albo... stypie.

– Proszę nie pić. Za to codziennie przyjmować dwa litry wody mineralnej – pouczyła go Wrona.

– Dwa litry? – Oczy Władka rozszerzyły się z niedowierzania.
– I osiem godzin snu. No i oczywiście żadnych stresów. Niemiłych rozmów, niezwykłych zdarzeń. Rozumiemy się?

– Tak – wydukał Władek.

– Cieszę się, że pomogłam – uśmiechnęła się Wrona.

– Proszę się nie rozpraszać! – huknął Konieczny. – Władek na mój znak poda każdej z pań po kolei pamiętnik pani Orzeł. I na mój kolejny sygnał każda z pań usunie kartkę. Jedną. Rozumiemy się?

Trzy kobiety jak zahipnotyzowane pokiwały głowami.

– Najpierw pani Wrona.

Władek podał Brygidzie Wronie pamiętnik. Rozległ się dźwięk darte go papieru.

– Nie poczekała pani na mój znak – zauważył z wyrzutem Konieczny.

– Mogę wydrzeć jeszcze jedną.

– Nie, nie! Nie trzeba. Teraz pani Sroka. Raz, dwa, trzy, wydiera pani.

Sroka energicznie szarpnęła za kartkę pamiętnika.

– Mówiłem: usuwamy niezapisane strony – jęknął Konieczny.

– Nic podobnego pan nie mówił – zaprotestowała Sroka. – Tylko że dowolnie wybraną.

Konieczny popatrzył z nadzieją na Władka, ale ten go zawiódł.

– Melduję, że nic takiego pan nie mówił, panie aspirancie.

– Nieważne. – Konieczny machnął ręką. – Jeszcze pani Jastrzębska. Raz, dwa, trzy!

Paulina Jastrzębska zawahała się przez chwilę, a potem ładnie i czysto wydarła kartkę z pamiętnika Wieśki Orzeł.

– Doskonale. – Konieczny zatarł ręce. – A teraz niech panie pozostaną na swoich miejscach. Pani Lucjo, proszę za mną.

Przeszliśmy do minikuchni za sypialnią Wieśki. Konieczny zamknął starannie drzwi i rozłożył wyrwane kartki na stoliczku.

– Teraz zobaczy pani w akcji to, co inspektor Wąski nazywa analizą techniki motorycznej – uświadomił mnie. – Proszę bardzo, pani Brygida Wrona wyrywa kartkę energicznie. Duża siła i pewność siebie. Powiedziałbym na podstawie techniki usunięcia kartki, że osoba, która tego dokonała, jest kobietą młodą, pełną sił witalnych, przyzwyczajoną do tego, że poucza innych. Sporo wniosków, jak na jedną kartkę, przyzna pani, pani Lucjo?

Trudno było nie przyznać.

– Następnie mamy kartkę usuniętą przez panią Paulinę Jastrzębską. Proszę zauważyć, że osoba, która usunęła tę stronę, starała się nie zniszczyć reszty pamiętnika. Uważnie zagięła kartkę i ostrożnie ją oderwała. Mamy tu do czynienia z osobą zrównoważoną, uważną, sympatyczną i bez skłonności do przemocy, a także dbającą o innych.

Pokiwałam głową nad przenikliwością zaprezentowanej analizy.

– I wreszcie kartka wyrwana przez panią Magdalenę Srokę. I tu również powtarza się pewien schemat, jak to określamy w pracy operacyjnej. Namiętność, gwałtowność, skłonność do przemocy, gniew. Proszę tylko spojrzeć na te postrzępione kawałki. To osoba gotowa na wszystko, żeby osiągnąć to, co zamierza. Co tu jest napisane? – Konieczny zmrużył oczy. – Pani Orzeł miała bardzo niewyraźny charakter pisma, a ja zapomniałem okularów.

– „...ta głupia dziewczucha niepotrzebnie się tak lituje nad tym gadem. To już przesądzone. Sławomir idzie w dobre ręce. Poza tym muszę zamówić ten nowy krem nawilżający, bo jest doskonały. Tylko on jeden daje radę mojej cerze po zmyciu makijażu scenicznego”. Dalej jest już tylko o kosmetykach – powiedziałam, bo zauważyłam, że przy kremie Koniecznemu zmętniał wzrok.

– Aha. To nieistotne. Wróćmy zatem do naszej analizy motoryki. Mając tak rozbudowany materiał dowodowy, pani Lucjo,

którą z tych kobiet typowałaby pani na zabójczynię?

– Zbyt mało danych. – Wzruszyłam ramionami. – Ale pan z pewnością ma już kogoś na oku.

– Oczywiście – przyznał Konieczny. – Pozwoli pani jednak, że jeszcze nie zdradzę wniosków. Waham się między dwiema podejrzanymi.

– Trzeba będzie się zdecydować – poradziłam mu. – Inspektor Wąski niebawem tu będzie.

Konieczny nadstawił uszu.

– Czy to dźwięk syren policyjnych? – zapytał z niepokojem.

– Obawiam się, że tak – przyznałam.

Konieczny zbladł, tym razem naprawdę jak ściana.

– Czas nam się skończył – wyszeptał.

– Mamy jeszcze co najmniej kilkanaście minut – pocieszyłam go.

– Ależ skąd, te syreny dobiegają z wjazdu na parking!

– I dlatego przypuszczam, że to potrwa co najmniej kwadrans – zauważyłam.

– Wręcz przeciwnie, będą tu za minutę! Jestem skończony.

– Moje graniczące z pewnością przypuszczenie opiera się na fakcie, że wjazd na parking kompletnie się zakorkował z powodu jednoczesnej awarii kilku tirów – wyjaśniłam. – I nikt nie przejedzie.

– Pani Lucjo, co też pani mówi?! – zdumiał się Konieczny. Trwało to dłuższą chwilę, zanim na jego twarzy zagościł wreszcie cień zrozumienia.

– A więc to tak? – zapytał.

– Możliwe – zgodziłam się.

– Ktoś podszeptał Jarowi, żeby zorganizował kilku kolegów i zatarasowali wjazd swoimi pojazdami?

– Mogło się tak zdarzyć. – Pokiwałam głową.

– Jednym słowem, stworzyli warunki zagrażające bezpieczeństwu ruchu drogowego – powiedział surowo.

- Można to tak nazwać – przyznałam.
- Narazając na szwank dobro śledztwa – kontynuował Konieczny.
- Jeśli pan się przy tym upiera.
- I działając w zмовie i spisku, uniemożliwili organom policji dotarcie na miejsce przestępstwa. – Konieczny wycelował we mnie oskarżycielsko palec.
- Obawiam się, że trzeba by tego najpierw dowieść. – Rozłożyłam bezradnie ręce. – A to, niestety, nie do zrobienia. Po prostu zawiodły silniki. Zdarza się.
- I akurat w kilku ciężarówkach naraz, w tym samym miejscu. Doprawdy zastanawiająca koincydencja – mruknął Konieczny ponuro.
- Zastanawiająca, lecz przecież nie niemożliwa – stwierdziłam.
- Ma pani rację. To daje mi trochę czasu.
- Tak się szczęśliwie składa. – Skinęłam głową.
- Dużo mnie to będzie kosztować? – zapytał przezornie.
- Drobiazg.
- Ile tych mandatów?
- Jaro ma trzy, pozostali w sumie dziesięć – wyliczyłam.
- Nie jest pani tania – jęknął Konieczny.
- Plus oczywiście moje. – Wyciągnęłam z kieszeni zwitek papierów. – Tym razem siedem.
- Pani Lucjo, za kogo mnie pani ma? Za cudotwórcę? – jęknął, biorąc druczki.
- Nie. – Uśmiechnęłam się. – Tę rolę zarezerwowałam już dla siebie.

Rozdział 12

– Pani Lucjo, odwiedzi mnie pani? – Konieczny opadł na fotel i wachlował się pamiętnikiem Wiesławy Orzeł. Syreny policyjne nie milkły, ale też nie zbliżały się, dobiegały wciąż z wjazdu na parking.

– Gdzie?

– W więzieniu, rzecz jasna.

Zerknęłam na niego z politowaniem. Jakim cudem aspirant dawał sobie radę w życiu, zanim mnie spotkał, było tajemnicą większą niż istnienie czarnych dziur we wszechświecie.

– Nie będzie takiej potrzeby – wyjaśniłam. – Nie trafi pan do więzienia.

– Nie ma mordercy, nawet Sławomira nie ma, jestem ja i nie zgłosiłam denatki – wyliczał Konieczny na palcach. – Zawiodły moja siła przekonywania, apele do sumienia morderczyni, a nawet analiza motoryki. Wszystko zawiodło.

Przestałam słuchać jego narzekań i skupiłam się na czymś innym. Terrarium Sławomira było ciężkie i nieporęczne. Przed koncertem był przenoszony do garderoby w przenośnej składanej klatce. I wracał w niej do autobusu. Tymczasem w autobusie nie widziałam śladu podobnej klatki.

I wtedy przypomniało mi się coś, co wcześniej usłyszałam. A raczej coś, czego nie usłyszałam.

Przeszłam do części z fotelami, na których ciągle siedziały trzy kobiety z ekipy Wieśki Orzeł oraz Władek. Ten ostatni właściwie przysypiał, ale na odgłos moich kroków zerwał się i strzelił obcasami. A potem, kiedy zobaczył, że to nie Konieczny, znowu ciężko opadł na fotel. Jednak po chwili poderwał się, bo aspirant zjawił się zaraz za mną.

– Zgadza się – odpowiedziała na moje pytanie Magda Sroka. – Sławomir miał składaną klatkę. Przecież to terrarium jest strasznie ciężkie.

– Melduję, że wiem, kto zabrał klatkę. – Władek znowu strzelił obcasami.

Konieczny spojrzał na niego z nadzieją.

– I nic nie mówisz?

– Inspektor Wąski zawsze mawiał, że jeśli na miejscu przestępstwa brakuje artefaktów, to oznacza, że w ich posiadaniu jest morderca – przypomniał Władek. – Stąd mój wniosek, że klatkę zabrał zabójca.

Konieczny zakrył twarz rękoma i wydał serię nieartykułowanych odgłosów. Zdawało mi się, że powtarzały się wśród nich słowa „zabiję go”, ale nie miałam pewności.

– Zdajesz sobie sprawę, co zrobi z tobą inspektor Wąski, kiedy już upora się ze mną? – Konieczny przestał w końcu mamrotać i rzucił Władkowi ponure spojrzenie. – Zapyta cię, kto jest mordercą. A kiedy nie będziesz znał odpowiedzi, jak postąpi?

– Zamknij mnie? – Władek zadrżał.

– Z pewnością – przyznał Konieczny.

– W Mławie? Razem z teściową?

Konieczny machnął zrezygnowany ręką. Za oknami zamigotały niebieskie światła. Konieczny wstał i spojrzał mi poważnie w oczy.

– Pani Lucjo, chciałbym, żeby pani wiedziała, że zawsze uważałem panią za niezwykle inteligentną kobietę, nawet jeśli nieco upier... hm, nadgorliwą. Znajomość z panią to zaszczyt.

– Dziękuję. – Skinęłam głową.

– Gdyby los dał nam więcej czasu, z pewnością nauczyłaby się pani rozwiązywać zagadki kryminalne, bo ma pani zdolności w tym kierunku.

– Miło, że pan tak sądzi.

– Jak mawiał inspektor Wąski: „Kiedy znajdziesz bratnią duszę, nie odwracaj kota ogonem”.

– Wyjaśnił bardziej szczegółowo, co miał na myśli?

– Niestety nie – westchnął Konieczny.

Drzwi się otwarły i do wnętrza autobusu wkroczyło trzech mężczyzn. Przodem szło dwóch techników policyjnych w białych uniformach, a za nimi wysoki policjant w skórzanej kurtce i ze złotym łańcuchem na szyi.

– Ach – powiedział ten wysoki z przekąsem. – Kogo widzę? Aspirant Konieczny we własnej osobie.

– Ach – powiedział Konieczny. – Aspirant Wiśnia. A gdzie jest inspektor Wąski?

– Zatrzymały go obowiązki służbowe. Dojedzie później.

Stali tak w przejściu, mierząc się wzrokiem, póki nie chrząknęłam. Obaj spojrzeli na mnie, a potem znowu na siebie nawzajem.

– Szkoda, że nie wezwał pan nas w porę, panie aspirancie – wycedził Wiśnia. – Inspektor Wąski nie jest zachwycony, że mamy trupa, morderca grasuje na wolności, a pan nie znalazł chwili, żeby poprosić o wsparcie. A tak dobrze panu szło. Naprawdę żałuję. Podobno posterunek w Ustrzykach Dolnych skarży się na brak kadry.

Konieczny przełknął ślinę. Na twarz Wiśni wypełzł złośliwy uśmiešek.

– Do przyjazdu inspektora Wąskiego przejmuję to śledztwo. Może nawet uda mi się odkryć mordercę. Nie mam zwyczaju marnotrawić czasu, jak co poniektórzy koledzy.

– Nie ma potrzeby przejmować śledztwa – włączyłam się do dyskusji.

– Cywil i się wtrąca? – zdumiał się Wiśnia, patrząc na mnie.

– Policjant i plecie głupoty? – odwzajemniłam zdumienie.

Poczerwieniał na twarzy.

– Przejmuję dochodzenie – powtórzył. – Proszę nie opuszczać miejsca zdarzenia i odpowiadać wyłącznie na pytania.

– Nigdzie się nie wybieram. – Wzruszyłam ramionami. – I zazwyczaj odpowiadam wyłącznie na pytania. Podobnie jak reszta ludzkości. W pozostałych przypadkach po prostu mówię. A to już, kiedy mam ochotę.

Wiśnia zbaraniał, co było sympatyczną odmianą.

– Dochodzenie jest już zakończone, prawda, panie aspirancie? – zwróciłam się do Koniecznego.

– Zakończony? – odparł jak echo, patrząc na mnie zdumiony.

– Ależ oczywiście. Spóźnił się pan. – Twardo popatrzyłam Wiśni w oczy, po czym szturchnęłam Koniecznego. – Przecież rozwiązał pan zagadkę.

– Rozwiązałem zagadkę? – Spojrzał na mnie oczami, w których malowała się nadzieja. W niewielkich ilościach, bo głównie jednak przerażenie i niewiedza.

– No oczywiście. Sam pan mówił, że puzzle wskoczyły na swoje miejsca – przypomniałam.

– Tak mówiłem?

– I że ramię sprawiedliwości dosięgnie mordercę.

– Tak mówiłem? Ale...

– Ale oczywiście już czas ujawnić tok pańskiego rozumowania – przerwałam mu pośpiesznie.

– Rozumowania? Tak, oczywiście – wybełkotał Konieczny.

– Przecież czytał pan w pamiętniku Wiesławy Orzeł, że denatka zamierzała oddać Sławomira.

– Jakiego Sławomira? – wtrącił się Wiśnia.

– Zielonego – osadziłam go. – Proszę nie przerywać ekspozycji.

– No tak, chciała go oddać. – Konieczny skinął głową.

– I nie podobało się to jej siostrzenicy, pani Paulinie Jastrzębskiej – dodałam.

– Jak można tak nie mieć serca – wtrąciła się Paulina. – Gdyby wszyscy oddawali zwierzęta, bo robią się za duże i za grube...

Przełknęłam ślinę. Nie chciałam rozwiewać jej złudzeń o świecie.

- Za grube? – zdumiał się Wiśnia.
- Tak – potwierdziłam. – Sławomir zrobił się za gruby do zdjęć, no i trzymanie go na kolanach i na ramieniu stało się problematyczne.
- Trzymała Sławomira na ramieniu? – Wiśnia usiadł na najbliższym fotelu i otarł czoło.
- To nieludzkie oddawać kogoś, bo jest za gruby i się nie komponuje – chlipnęła Paulina.
- Ja to bym teściową oddał natychmiast. Ale nie dlatego, że jest za gruba, chociaż jest, ale straszna z niej żoźza – zauważył Władek.
- Teściowa nie jest przedmiotem dochodzenia – przytoczył machinalnie Konieczny.
- Ale Sławomir już tak – weszłam mu w słowo.
- A gdzie on właściwie jest? – Konieczny rozejrzał się dookoła.
- To pytanie zadawał pan sobie już od początku śledztwa – przypomniałam. – Okazało się bowiem kluczowe.
- Kluczowe? Ach tak, oczywiście...
- Kim jest ten cały Sławomir? – wtrącił się znowu Wiśnia.
- Prawdziwa bestia – mruknął Władek. – Od razu mówiłem, że kogoś zeżre, i się sprawdziło. Patrzyło mu z oczu jak mojej teściowej. Ona też jak spojrzy na człowieka, to jakby chciała go zeżreć.
- Otóż kiedy jakiś czas temu padło pytanie o zaginioną Violettę, zwrócił pan uwagę, że nikt nie zapytał, gdzie jest Sławomir.
- Zwróciłem? Tak, możliwe.
- Kim, do diabła, jest Violetta? – Wiśnia chciał się zorientować w szczegółach sprawy, ale nikt mu nie odpowiedział.
- Później uzmysłowił pan sobie, że morderca, a właściwie morderczyni, nie zadała tego pytania, bo znała odpowiedź.
- Uzmysłowiłem sobie... – Konieczny otarł czoło.

– A potem zadał pan sobie kolejne pytanie: gdzie jest wydarta kartka z pamiętnika Wiesławy Orzeł? – przypomniałam mu.

– Tak? A tak. Właśnie takie pytanie sobie zadałem – ucieszył się Konieczny. – Niestety...

– Niestety odpowiedź nie była prosta. – Ponownie weszłam mu w słowo. – Musiał jej pan długo poszukiwać.

– Poszukiwałem – przyznał Konieczny. – Bardzo długo.

– Ale czuł pan, że jest pan na tropie. Jak doberman.

– Jak doberman? A tak. Tak właśnie czułem.

Wyjęłam komórkę i wybrałam numer.

– Przynies go, proszę – zadysponowałam, po czym triumfalnie spojrzałam na zebranych. – Na szczęście odpowiedź okazała się trywialna – mówiłam dalej. – Władek, otwórz terrarium.

– W życiu! – Władek się wzdrygnął. – A jak Sławomir tam jednak siedzi, przyczajony, i rzuci się na mnie?

– Tam siedzi Sławomir? – Wiśnia znowu otarł pot z czoła. Wyglądał na zdezorientowanego. Widać pracował z Koniecznym i Władkiem rzadziej niż ja.

– Z pewnością Sławomira nie ma w terrarium – uspokoiłam Władka.

– A jak ma małe i one się na mnie rzucają? – Podkomendny ostrożnie podszedł do terrarium.

– Sławomir ma małe? – Wiśnia wybałuszył oczy.

– Małe Sławomira nie są przedmiotem śledztwa – pouczył go odruchowo Konieczny.

– Niech pan wsadzi rękę i pogrzebie pod tą skałą. – Pokazałam Władkowi, gdzie ma szukać.

Ten zbladł, ale posłusznie wsunął dłoń do terrarium. Wyglądał przy tym, jak zapewne wyglądają saperzy, kiedy nie wiedzą, czy przeciąć niebieski przewód, czy czerwony.

– Mam jakąś kartkę! – Władek wyciągnął spod skały zwitek papieru i oddał go Koniecznemu.

– To kartka z pamiętnika. Ta brakująca – zdumiał się aspirant.

– Na szczęście odkrył ją pan i teraz trzyma w ręce. – Uśmiechnęłam się.

– Trzymam ją w ręce – powtórzył jak robot Konieczny. – Tu jest napisane: „Muszę zwolnić Paulinę. Co za namolna dziewczucha. Napomknęłam jej, że w przyszłym tygodniu oddaję Sławomira, bo zrobił się za gruby, i wezmę mniejszego legwana, żeby lepiej komponował się w kadrze. A ona dostała hysterii, że tak się nie robi z przyjaciółmi. Muszę dziewczynie pokazać, gdzie jej miejsce, bo się rozwydrzyła”.

– To było nieludzkie! – wykrzyknęła Paulina, a w jej oczach stanęły łzy.

– W ten sposób ostatni element układanki trafił na miejsce – podsumowałam. – I ukazał się panu pełen obraz.

– Ukazał się? – zająknął się Konieczny. – A tak, zdecydowanie.

Drzwi do autobusu otwarły się i do środka wszedł Jaro, taszcząc klatkę ze Sławomirem.

– Mam gada – zachichotał. – Naprawdę niezły z niego grubasek. Zmieniłaś zdanie? – zwrócił się do Pauliny.

– Kiedy ciotka powiedziała, że po prostu go odda, bo jest za gruby do zdjęć i za ciężki na kolana, nie mogłam w to uwierzyć – łkała dziewczyna. – Myślałam, że ma z nim więź emocjonalną. Ale ona tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, że to już trzeci Sławomir. I że dwa poprzednie są dawno w schronisku.

– To są schroniska dla legwanów? – zdumiał się Wiśnia.

– To nie jest przedmiotem dochodzenia – przypomniał mu Konieczny.

– Musiałam go ratować. Nawet zaproponowałam, że Sławomir może zamieszkać ze mną, ja się nim zajmę, ale ciotka nie chciała się zgodzić. A przecież nie postępuje się tak z przyjacielem, prawda? – Paulina spojrzała na Koniecznego.

– Oczywiście, że nie – przytaknął miękko głosem. – Nie miała pani wyjścia. Dosypała pani środków nasennych do herbatki ciotki. Każdy by tak zrobił.

– Tak – zaszlochała Paulina.

– Musiała pani ratować przyjaciela. – Konieczny pokiwał głową. – Potem wyrwała pani z pamiętnika kartkę, która rzucała na panią podejrzenie, i ukryła ją w terrarium, licząc na to, że nikt nie odważy się tam szukać. A samego Sławomira oddała pani na przechowanie Jarowi.

– Tak było – przyznał Jaro.

– Krótko mówiąc, Wiśnia, w natłoku toczącego się śledztwa nie miałem czasu, żeby dzwonić i cię informować – wycedził Konieczny. – Mam nadzieję, że nie zasugerowałaś inspektorowi Wąskiemu, że sobie nie radzę, coś zataiłem lub że sam poprowadzisz śledztwo. Inspektor Wąski nie lubi takich sugestii.

– Inspektor Wąski mawia, że zły to ptak, który swoje gniazdo kała. – Władek się wyprężył.

– Właśnie – potwierdził Konieczny, mierząc wzrokiem Wiśnię, który jakby zmalał o dobre dwadzieścia centymetrów.

– Co wy mówicie, chłopaki? – wydukał Wiśnia. – Tak sobie przecież tylko żartowałem. Jak to z kumplami bywa. Załapaliście, no nie?

Uznałam to za dobry moment, żeby zniknąć po angielsku. Torbę miałam już spakowaną. Dałam znak Jarowi i wyszliśmy w ciemną gwiazdzistą noc.

– Czy tobie się wydaje, że to były żarty? – Usłyszałam jeszcze pytanie Koniecznego.

– Melduję, że nie – zaraportował Władek. – Wydaje mi się, że to ptak, co swoje gniazdo kała.

Rozdział 13

– Będziemy w Warszawie nad ranem – powiedział Jaro. – Nawet porządny chłop z tego Koniecznego – dodał po chwili wahania. – Jak na psa, oczywiście.

Doszliśmy do tira Jara porzuconego przy wjeździe na parking. Jeden z kilku radiowozów stał obok, błyskając światłami, a policjanci spisywali coś w notesie.

– Pan jest kierowcą? – zwrócił się jeden z nich do Jara surowym tonem. – To będzie pana nieźle kosztować.

Westchnęłam i wyciągnęłam komórkę.

– Jeszcze jeden – powiedział Koniecznemu. – Tak, na cito, teraz. Czekam.

Staliśmy z Jarem w milczeniu jakieś trzydzieści sekund, aż zadzwoniła komórka policjanta. Ten z kolei słuchał przez niecałe piętnaście sekund. Musiało to być jednak znaczące piętnaście sekund, bo zrobił się całkiem zielony na twarzy, co dało się zauważyć nawet w migającym świetle koguta.

– Oczywiście. Tak jest, natychmiast. Już wykonuję – rzucił do komórki i rozłączył się, po czym popatrzył na Jara. – Życzymy szczęśliwej podróży do Warszawy, szanowny panie Jarosławie.

– Dziękuję – ucieszył się Jaro. – To bardzo miłe. Selfiaczka?

Policjant już chciał zaprotestować, ale pomyślał i wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Oczywiście, panie Jarosławie – mruknął. – Policja zawsze razem z obywatelem.

– To ja będę udawał, że go duszę, a pani cyknie, pani Lucjo – uradował się Jaro. – Zawsze chciałem strzelić sobie takie zdjęcie.

Cyknęłam.

W drodze do Warszawy przeszczęśliwy Jaro śpiewał *Hej, sokoły*. Violetta spała mi na kolanach. Uznałam, że nigdzie nie będzie jej

lepiej niż u Jara. Poza tym Pipunia potrzebowała przyjaciółki.

Zadzwoiła moja komórka.

– Pani Łucja Słotka? – zapytał głos w słuchawce.

– Lucja.

– Mam dla pani zlecenie. – Głos nie przeprosił za pomyłkę. –
Jest pani wolna?

Wyglądało na to, że właśnie byłam.

– Nazywam się Jan Kowalski. Jestem właścicielem *call center*
wrózek. Na pewno pani słyszała. „Magia Kowalski”.

Nie słyszałam, ale powiedziałam:

– Rozumiem.

– Otóż te wróżki się kłóczą.

– Jak to wróżki. – Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Nie mogą się zgodzić, która lepiej widzi przyszłość –
westchnął głos. – Trzeba to ogarnąć.

– Czy to już wszystko?

– Jeszcze nie, pani Łucjo.

– Lucjo.

– W dodatku one się obrzucają nawzajem klątwami. Boję się, że
to się źle skończy.

– Czy to już wszystko?

– Mniej więcej. Poradzi sobie pani?

W życiu nie słyszałam głupszego pytania. To było zadanie
w sam raz dla Lucji Słotkiej, Home Disaster Manager.

KONIEC

Lucja Słotka powróci w tomie *Wróżka, która widziała za dużo*